



Tak będzie wyglądał król Jerzy VI na starym tronie królewskim z berłem w rękę.

Koronacja KRÓLA ANGIELSKIEGO w Maju Będzie Szczytem Pompy i Przepychu

GDY ucichły odgłosy sprawy Edwarda VIII i pani Simpson, i gdy na tron wstąpił młodszy brat Edwarda, książę Yorku, przyjmując tytuł Jerzego VI, odetchnął spokojnie Londyn, a szczególnie odetchnęło kupiectwo angielskie, które od kilku miesięcy przygotowuje się do wielkich uroczystości koronacyjnych nowego króla w maju przyszłego roku. Gdyby uroczystości te miały być odłożone, a na to zanosilo się przez pewien czas, straty poniesione szłyby w miliony dolarów.

Naturalnie cała Anglia i wszystkie dominia brytyjskie mówią dzisiaj tylko i jedynie o koronacji, wyznaczonej na dzień 12. maja. Kto będzie miał jaką suknię? Kto będzie miał jaki kostium? Dla Wielkiej Brytanii wielka to i historyczna chwila, gdy król Jerzy VI wkroczy do Westminster Abbey dla otrzymania korony królewskiej.

Tłum martwi się dzisiaj o dwie sprawy:

Czy będzie mógł zdobyć bilety na zobaczenie wymarszu i pochodu koronacyjnego?

Jeżeli tak, czy będzie mógł sobie pozwolić na stroje, jakie marszałek uroczystości na taką chwilę przepisuje?

Etykieta dworska na okres koronacyjny jest bardzo ostra i wymagająca. Inną suknię musi mieć baronowa, inną hrabina, inną księżniczka. Ogon sukni musi być dłuższy w stosunku do ważności tytułu, nadto suknia musi mieć tem więcej gronostaju, im większy jest tytuł. Suknie pań na koronację są wobec tego niesłychanie kosztowne, i nie każdy, nawet bogaty, może sobie na tak ogromny wydatek pozwolić. Duma jednak, pozycja socjalna wymaga by na koronacji być i się pokazać.

OFICJALNYM materiałem na okres koronacyjnych uroczystości jest plusz i aksamit. Można sobie wyobra-

Książę Norfolk będzie głównym marszałkiem ceremonii, przypominających średniowiecze.



zić, jak praca wre we francuskich fabrykach jedwabnego pluszu we wszystkich odcieniach wszystkich kolorów. Ścisłe określone reguły przepisują kostiumy dworskie, zresztą nie tylko dla kobiet, ale i dla mężczyzn.

Cały charakter uroczystości będzie przypominał średniowiecze z jego przepychem, pompą i świetnością.

Kieruje tem wszystkim książę Norfolk, którego całe rodowe nazwisko brzmi: Bernard Marmaduke Fitzalan Howard. Liczy lat 28 i zadanie przed sobą ma wcale pokaźne i trudne.

GDY odbywała się ostatnia koronacja króla Jerzego V w roku 1911, w katedrze Westminster było 7,000 zaproszonych gości. W roku przyszłym liczba ta wzrośnie do 8,000, a obecnie znajduje się na liście osób do zaproszenia aż 12,000 nazwisk, które powinny być na uroczystości koronacyjnej i które chcą być. Problem więc nie lada.

Same uroczystości koronacyjne mają charakter religijny i prowadzone są przez arcybiskupa Canterbury, jak wiadomo ogromnego wroga byłego króla



Wśród odgłosu fanfar i orkiestr będzie się posuwał orszak koronacyjny. Fotografia powyższa była zdjęta z koronacji króla Jerzego V. w r. 1911.

Edwarda VIII, natomiast przyjaźniej usposobionego do obecnego króla. Król Jerzy VI przyjedzie karetą królewską do bocznych drzwi katedry, gdzie powita go głowa kościoła anglikańskiego, arcybiskup Canterbury a chór chłopców odśpiewa starą pieśń koronacyjną pod tytułem: "Niech żyje król."

Przed wielkim ołtarzem będzie zbudowane specjalne podwyższenie, na którym stanie tron. Po wejściu do katedry arcybiskup zaprowadzi króla w cztery kąty podwyższenia, stawiając twarz w cztery strony świata, w których rozciąga się imperium brytyjskie.

Następnie będzie odśpiewana litania za pomyślność rządów nowego króla i para królewska przyjmie komunię. Po odpowiednich modlitwach i śpiewach, król uda się do stóp ołtarza, położy dłoń na biblii i złoży przysięgę. Arcybiskup zada mu trzy pytania, czy dochowa przysięgi obrony kraju, narodu i religii, na co król odpowie potakująco, poczem podpisze akt przysięgi.

NASTĘPNIE arcybiskup dokona pomazania świętym olejem, poczem król zasiądzie na tronie i będzie otrzy-

mywać po kolei rozmaite części regalii królewskich, a więc berło, jabłko i koronę. Samo nakładanie korony królewskiej na głowę jest dokonywane niezwykle uroczystie przez arcybiskupa Canterbury. W chwili gdy ją włoży, chór śpiewa: "God Save the King" trąby i organy grają a przed katedrą kapelle, zaś z wieży londyńskiej dana będzie salwa strzałów armatnich.

Po krótkich modłach i śpiewach rytuał ma się ku końcowi, król w koronie idzie do kaplicy królewskiej, składa tam modły u grobów, i w regaliach królewskich wśród szpalerów tłumów jedzie do pałacu Buckingham, gdzie odbędą się dalsze uroczystości, obiad wystawny, przyjęcia dworskie i bal.

I tego wszystkiego uniknie książę Walii, były król Edward VIII.

**WEŹ UDZIAŁ
W WIELKIM KONTEŚCIE
Z. N. P. O WSPANIAŁE
NAGRODY**

MIEDZY USTAMI A BRZEGIEM PUHARU

(Ciąg dalszy)

—Oto bilet. Proszę mnie oznajmić hrabiemu. Przyjmie niezawodnie — zawołał Jan niecierpliwie. — Zresztą, za ledwie dwunasta.

—I pięć minut. Kartę raczy pan przedstawić o trzeciej.

—Bodajże pękł, kufo browarna! — zaburzał Polak, wściekły, zawracając z powrotem.

Ciężkie dębowe podwoje zapadły za nim: znalazł się na ulicy.

—Podłe Niemcy! — kłął, wodząc oczami po frontonie pałacu. — Oj, dałbym ja, dał tej grubej poczwarcie! Wra-rai znowu po obiedzie.

Gdy tak medytował, patrząc w okno, czy się gdzie Wentzel nie pokaże, nagle otwariły się szybko małe, niepozorne drzwiczki lewego skrzydła i z nich wybiegła młoda dama, żegnając kogoś kaskadą śmiechu; za nią zamknęło się tajemnicze wejście.

Kobieta otarła się prawie o Jana, który na nią wytrzeszczył oczy, zmieszana się z tłumem i znikła.

—Oho, patrzcie . . . ta kursuje pięć minut po dwunastej! No, no, akuratność niemiecka toleruje ładne wyjątki bocznymi drzwiami! A żeby ja tam zakolatała? Wezmą mnie za naniękę i puszczą do sanktuarium! Ho, ho, ten paniczek, si correct, figluje na swoich śmieciach! Na zdrowie mu, byle tylko otworzył.

Zastukał raz i drugi do furtki, bez skutku — i dał za wygraną.

—Nie znam umówionego znaku. Co robić? Pójdę na miasto popatrzeć, wróćę o trzeciej.

Stawił się punktualnie co do minuty. Gruby szwajcar protekcyjnie kiwnął mu głową, wziął bilet i pocisnął sprężynę zatrasku i dzwonek elektryczny.

Drzwi się otwarły, ponsowo-złoty lokaj powitał gościa ukłonem, wziął kartę i cicho, jak widmo, poprowadził oszołomionego po marmurowych schodach przkrytych dywanami, na pierwsze piętro.

Na załomach rycerze z brązu świecili gazowemi pochodniami, a na końcu schodów wiotka brązowa Psyche wyciągała w górę śliczne ramiona z alabastrową lampą.

Magnacki przepych bił ze ścian, malowanych al fresco, z marmurów — przepelniał dom cały. Lokaj, zawsze milczący, wprowadził gościa do salonu, obwieszzonego gobelinami i zniknął, niosąc bilet na złoczonej tacy.

Po dość długim oczekiwaniu skrzypnęły drzwi. Jan się porwał uradowany i struchlał.

Naprzeciw niego wyszła maleńka postać panny Doroty von Eschenbach i przywitała go staroświeckim dygiem.

—Pan zapewne chciał się widzieć z Wentzlem? — zaczęła uprzejmie, spstrzegając jego zakłopotanie.

—Tak, łaskawa pani!

—Jestem panna Dorota von Eschenbach, ciotka Wentzla — przedstawiła się, dygając powtórnie. — Pan ma interes do niego. Może dzierżawca? Jest pan Sperling.

Jan się zaśmiał.

—Interes mój nie wymaga plenipotenty. Wystarczy mi godzina rozmowy z hrabią.

—Ach, panie! Godzina rozmowy! Ja od dwóch tygodni nie mogę go zdobyć na minutę! Teraz karnawał. Dziś bal w ambasadzie austriackiej, jutro u księcia Ernestów, pojutrze u hrabstwa Spangendorfa, we czwartek przyjęcie u dworu. Karnawał, okropność! Bardzo bym chciała panu pomóc. Przed chwilą posłałam do Wentzla; może się zjawi.

Ponsowy lokaj ukazał się w progu.

—Pan hrabia śpi — oznajmił oficjalnie. — Urban kazał powiedzieć, że dla nikogo nie ośmieli się go budzić!

—Biedaczysko! — westchnęła ciocia Dora. — Byłoby to niemiłosierne, przerwać mu spoczynek.

Jan się zniecierpliwiał. Biedaczysko nie był przecie ani starcem, ani chorym, ani niemowlęciem — nie czuł dlań żadnej litości.

—Bardzo mi przykro, żem panią utrudzał. Żegnam.

Wstał i wyszedł, życząc Wentzlowi djabłów i licha.

Dzień był stracony. Poszedł wieczorem do teatru, ale darmo się rozglądał. Wentzla nie było, sztuki mało pojął,

znajomych nie miał, ziewał jak na niemieckim kazaniu.

Następnego dnia włożył się po mieście, tam, gdzie najwięcej było prywatnych ekwipaży, strojnych dam i okazałych magazynów — i tam nie było Wentzla.

Zamiast niego los mu nadarzył Urbana.

Factotum hrabiowskie widocznie było na urlopie. Miał na sobie kamerdyner angielskie palto, błyszczący cylinder, lakierki i jasne rękawiczki. Z nosem zadartym i rękami w kieszeniach wyglądał jak jego pan. Z pod pachy wyglądała laseczka o złotej skówie. Laseczką tą wydziobiował oczy przechodniom i gwizdał sobie aryjkę Straussa.

Ujrzawszy Chrzastkowskiego, nie zmieszkał się wcale, uchylił z wdziękiem kapelusza i mijał jak kolega.

—Czekaj-no, czekaj — zatrzymał go Jan. — Gdzie twój pan?

Urban zrobił gest niewiadomości.

—Uwolniłem się na tydzień, proszę pana. Wracam w tej chwili ze szluzgawki — odparł z ujmującym uśmiechem. — Teraz karnawał.

—Przecie mogę się zobaczyć i spotkać z hrabią choćby w karnawale.

—Spotkać bardzo łatwo. Nasze tarantę zna cały Berlin. Ale zobaczyć się, to prawie niepodobna. Pan hrabia bardzo zajęty.

—Możesz mi ułatwić wizytę?

—Chyba za tydzień.

—Zwariowałeś! Mam do niego polecenie od jego babki z Mariampola.

Tu Urban wyjął ręce z kieszeni i przybrał typowo-lokajską pozę.

—Die Wohlgeborene aus Mariampol? Das ist etwas anderes. Mogę panu dać bilecik polecający do mego zastępcy Augusta.

—Tfu! Będę chodził od fagasa do fagasa! Wolę z niczem wrócić. Schoenen Dank! Obejdę się bez twojej pomocy.

Urban nie zrozumiał powodu gniewu. Uchylił na pożegnanie cylindra i wszedł do okazałej restauracji.

W Janie wzbierał gniew. Chciał wracać z niczem, ale zląkł się pani Tekli. Wsiadł do doróżki i kazał się wieźć za Brandenburską Bramę.

Było to dobre natchnienie. Wśród seitek powozów i koni dwa przepyszne tarantę mignęły mu jak błyskawica. Kazał stangretowi je dopędzić. Stał na doróżce i wyglądał.

Tarantę zwolniły biegu, doróżkarz ćwiczył swe szkapy — zrównali się. Jan zajął do powozu i zaklął po mazursku.

Ujrzał wewnątrz szlify wojskowe i szubkę chudej damy o bladych oczach.

Nie znał majora Koop i nadobnej jego Emilii, więc się nie przywitał, tylko kazał zawrócić, i zły jak piorun, wysiadł na obiad w hotelu.

Dano mu sporo siekaniny i słodką zupę na pociechę, — to mu wcale nie poprawiło humoru. Ruszył jednak z wozem wytrwałością na dalsze poszukiwania.

Włożył się to tu, to tam, zapatrzone w przejeżdżające powozy, obrywając treny damom, popychający i popychany, często łajany; raz go nawet wystrofił policjant. Naprawdę — nie widać było ani tarantów, ani Wentzla, ani nawet Urbana. Żałował bardzo Jan, że się nie wypytał lokaja o klub czy restaurację, gdzie hrabia obiadował zwykle. Byłaby to nić Ariadny.

—Zabawię do jutra i wróćę, albo napiszę, Pani Tekla zada mi pieprzu, jak amen w pacierzu. Cóżem winien? Ten przeklęty hrabia karnawałuje, a ja nie jestem panienką. Oto cały powód niepowodzenia. Alboż to moja wina? Ot, zajdę na szklankę ponczu. Zimno!

Wszedł do kawiarni. Naprzeciw niego siedziało trzech panów, rozmawiając wesoło.

Mimowoli zaczął półuchem nasłuchiwać.

—Hrabina Aurora wyjechała do Poczdanu. Nie będzie dziś na balu u ministra.

—Szkoda. Obiecała mi walca.

—Słyszeliście, że na maskaradzie wczoraj Schoneich przebrał się za damę i wziął się na Herberta.

—I cóż?

—Ale, komedia! Herbert się zapalił, nie odstąpił na krok, przysięgał, że pozna Alnę z baletu. Zaprosił na kola-

cję, poił szampanem i odwiózł swoją karetą. Dziś wyzwiał Schoneicha na szpady.

—Będą się bili?

—Koledzy nie dopuścili. Baron pozwolił Herbertowi na przyszyły bal wziąć swoje domino i kok.

—No, już trzeba przyznać, że Wentzel i Schoneich broją bez pamięci w tym roku.

Jan aż podskoczył na krześle i wyteżył uwagę.

—A zawsze się im uda spletać figla i wykręcić się sianem. Myślałem, że będzie źle, gdy wykradli starą guwernantkę księżniczki Elizy!

—Co? Nie słyszałem! — spytał ciekawie jeden.

—Prawda, że ty wczoraj przyjechałeś z Wiednia. Jak wiesz, Wentzel ma ząb na szambelana Astowa za jakąś plotkę o nim i o hrabinie Aurorze. Stary coś widział, coś słyszał, coś dodał i wypaplał. To i dosyć. Otóż obydwaj z papryką urządzają farsę. Guwernantka wracała z teatru, Wentzel się do niej przysuwa, czuli, uśmiecha, wreszcie błaga o chwilę rozmowy. Gdzie? — W hotelu. Babie podobał się chłopak — zgoda! Tak ją łotr usidlił, że nie patrzała, gdzie jedzie. Zawiózł ją prosto do szambelana miał fluksję i rano się położył guwernantkę w gabinecie i niby wyszli na chwilę, poto tylko, żeby zaprosić znajomych, jako od Astowa, na karty. Zebrali umyślnie najplotliwszych radców i gromadą wpadli. Tymczasem szambelan miał fluksję i rano się położył. Zbudził go krzyk kobiety. Guwernantka zaczęła być niespokojna, wołała ratunku. Szambelan myślał, że to pożar, rozbój, awantura; narzucił szlafrok i wypadł bez peruki i zębów, — Adonis. Guwernantka w krzyk, dostała spazmów. On do niej — ratować — aż tu lokaj otwiera drzwi i recytuje z tuzin nazwisk. Tableau!

Młodzi ludzie aż się pokładali od śmiechu. Jan miał ochotę im zawtórwać.

—Cóż Wentzel i Schoneich?

—A cóż, sprawa zaszła aż do cesarza. Wzywano obu. Skandal! Astow zachorował. Guwernantkę musiano schować, bo ją palcem wytykano. Myśleliśmy, że im obu każą wyjechać co najmniej. Wrócili z gestami minami. Hrabina Aurora zaręczyła, że byli u niej tego wieczora. Spadło wszystko na Astowa.



Ostatnią nowością w dziale bielizny damskiej są eleganckie spódniczki koronkowe, jakie przylegają ściśle do figury, nadając się do noszenia przy obcisłych kostiumach.

—Żeby nie hrabina, toby sto dam za nimi ręczyło.

—Wiesz, że o Wentzla panna Anneheim obila szpieturą Ellę Schwan!

—Widziałem. Działo się to przy stu świadkach w maneu. Klóciły się jak przekupki.

—Schoneicha boją się jak złego ducha. Zna je do gruntu. A jak weźmie na fundusz, to nie zostawi suchej nitki.

—A wiecie z kim Wentzel teraz romansuje?

—Z dwudziestoma!

—To flirt, ale serio z jedną.

—Z hrabiną Aurorą.

—To urzędowo. A nieurzędowo . . .

z żoną swego plenipotenty, Znacie Sperlinga?

—Aha! Młoda, szczupła brunetka. Widziałem w teatrze. Ten Wentzel specjalista od mężatek.

—Bo się żenić nie wybiera, jak ty. Na twoją pannę Hertę ani spojrzysz teraz, ale po ślubie radzę ci wyjechać.

—Co też i uczynię. Te kobiety, jak owce! Za jedną skoczą tysiąc.

—Wczoraj była znowu awantura u Lidii. Powybijano wszystkie okna, potłuczono lustra i lampy, nie zostało jednego całego sprzętu. Dziś ich z dwudziestu wybiera się do Buff.

—Chodźmy i my!

—Pójdę i ja — pomyślał Jan.

Młodzi ludzie zapłacili i wyszli z hałasem; za nimi wymknął się Jan, uśmiechając się triumfująco. Wiedział, gdzie szukać hrabiego. Kazał się wieźć do Buff i po długim kręceniu się w labiryncie ulic znalazł się wreszcie przed oświetloną bramą trzeciorzędowego teatru. Spóźnił się widocznie. Przed świątynią wesołej sztuki pełno było powozów i koni, roilo się od liberii, jakby cała arystokracja pruska dała sobie tam rendez-vous.

Jan omal nie krzyknął z radości. Tarantę Wentzla stały u bramy. Spytał stangreta o hrabiego.

—Soeben angekommen — odparł sługa.

—Ha, mam cię przecie! — zamruczał, biorąc bilet do krzeseł.

W sali gorąco i tłok był nie do opisania. Podrzucany jak piłka, dobił się swego miejsca, odsapnął i rozejrzał się po sali. Wentzla nigdzie nie było. Publiczność składała się ze studentów, młodzieży rzemieślniczej i handlowej i trochy oficerów. Afisz ogłaszał "Orfeusza w piekle".

Jan stracił na chwilę przytomność, odurzony śmiechem, piskiem, tupaniem i przeraźliwą muzyką janczarską.

Widocznie wrzeszczeli jak stado dzikich; wywoływano aktorki po sto razy, rzucano na scenę bukiety, miotano się, machając kapelusami i chustkami.

—Czy do tych Szwabów zle przystąpiło? — pomyślał Jan, wytrzeszczając oczy. — Ale dziewczęta ładne! Ani słowa. Tej czarnej i jabym bukiet dał. No, no, co też ten karnawał wyprawia. Ale gdzie Wentzel? Przecie nie występuje za aktora. Nie wysiedzę tu nic; trzeba gdzieindziej zakolatać.

Przecisnął się do przejścia i wpadł na jakiegoś służącego w liberii.

—Słuchaj-no, a gdzie ci panowie, co ich niema? — krzyknął, porywając człowieka za kołnierz.

—Co ich niema . . . — wybełkotał lokaj zdyszany. — To oni są . . . są . . . ale ja biegnę po szampana . . .

Obydwa pletli trzy po trzy, ale rozumieli się doskonale. Jan wetknął srebrniaka w rękę draba.

—Znasz hrabiego Croy-Dulmen?

—Jakiego? Mego pana? Toż przecie lecę po szampana.

—A gdzie twój pan?

—A ot tam, w garderobie. Ale ja lecę, proszę darować!

Wyrwał się i pobiegł, skacząc po trzy stopnie. Jan ruszył, gdzie mu wskazał, zle oświetlonym korytarzykiem, aż do drzwi, u których stała straż teatralnego sanktuarium, olbrzymi woźny.

—Proszę mnie puścić za kulisy.

—Verboten — była lakoniczna odpowiedź.

—Masz talara.

—Verboten.

—No, to daj moją kartkę hrabiemu Croy-Dulmen.

—Verboten.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Niezwykłe Wypadki

w r. 1936

PRZED kilkoma miesiącami wydarzył się niejakiemu p. Peter P. Parault, trzeci w tym roku wypadek samochodowy. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego gdyby nie to, że pierwszy wypadek, jaki on miał w tym roku wydarzył się na ulicy North, drugi na ulicy South, a trzeci na ulicy West. Wskutek tych niezwykłych okoliczności jest bardzo możliwe, że otrzyma on w tym roku specjalne wyróżnienie jako ofiara dziwnych wypadków roku 1936.

Ustaliła się już pomiędzy pisarzami opisującymi najrozmaitsze sceny z życia amerykańskiego tradycja, by wybierać najbardziej wyróżniające się fakty i klasyfikować je odpowiednio. Mamy więc jakąś osobę lub rzecz, która jest najbardziej popularną, mamy również coś co jest najbardziej wartościowego i t. d. Pisarz niniejszego artykułu przeglądał i porównywał tysiące raportów i jest obecnie w stanie przedstawić swych kandydatów w poszczególnych kategoriach z p. Parault na czele, który zbiera pierwsze honory na liście dziwnych wydarzeń.

Oto są te dziwaczne wypadki:—

Najbardziej nie na miejscu. Kapitan Leon McKinnon jest człowiekiem, którego dom jest tam gdzie on spadnie z powietrza. Kapitan McKinnon dokonał przeszło 350 skoków z samolotów przy pomocy spadochronów, można przeto było się spodziewać, że gdyby się miał mu przytrafić jaki wypadek to powinien on się zdarzyć przy zeskakiwaniu z samolotu. Tymczasem stało się co in-

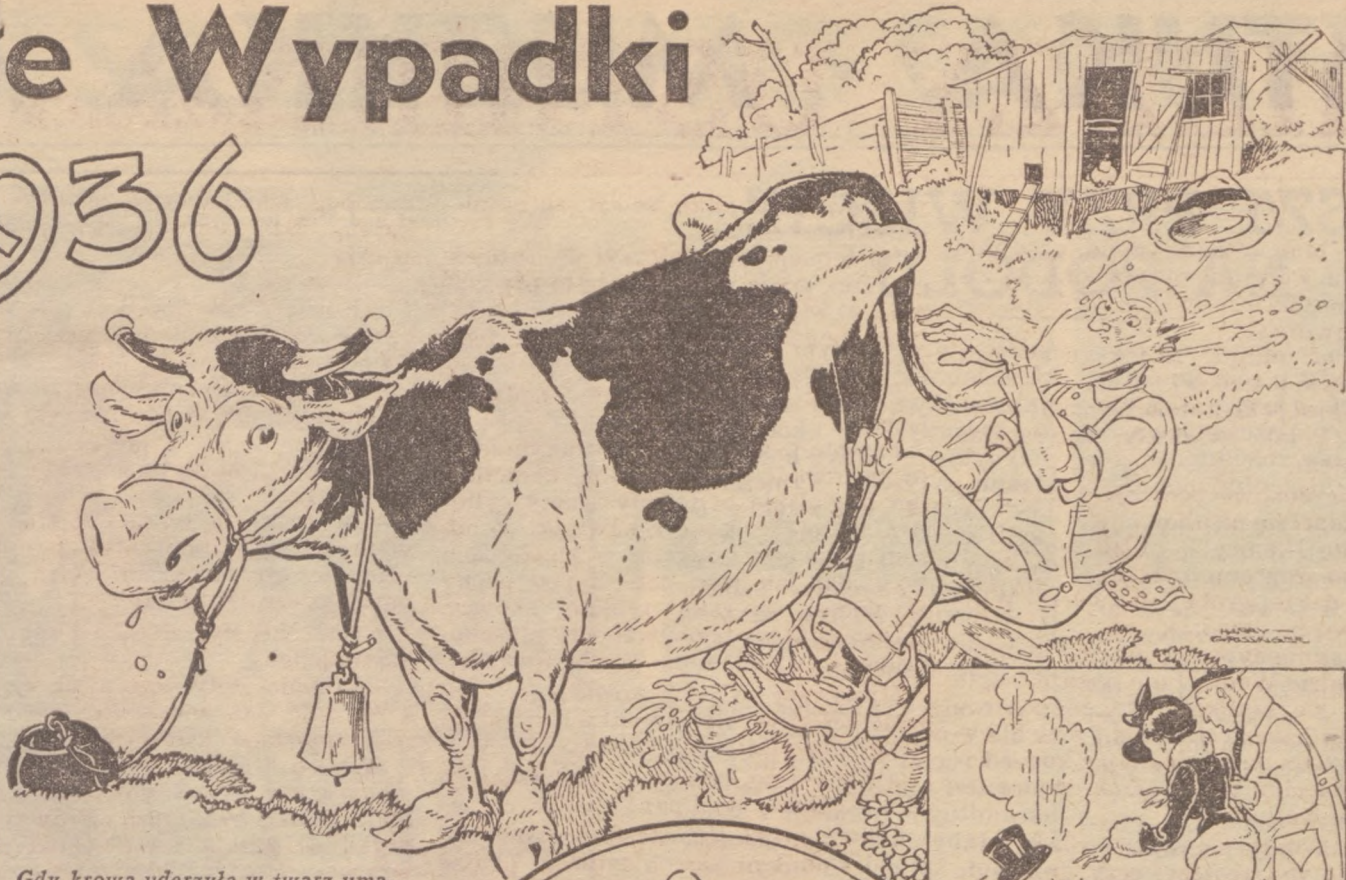


nego. Odnosił on poważne obrażenia cieleśne w roku 1936 gdy poślizgnął się i przewrócił w wannie.

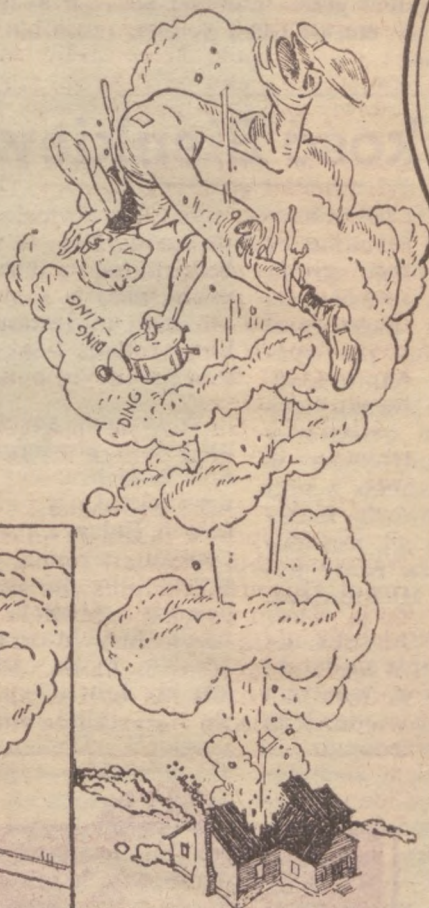
Nie boi się wypadków. Porucznik Albert W. Sheperd z Korpusu Aeronautycznego nie boi się wypadków. Porucznik Sheperd został ugryziony przez niebezpiecznego węża podzwrotnikowego gdy w Panama City ubierał się na zabawę. Tak macie rację. Zgadliście. Waż zdechł, a porucznik otrzymał zastrzyk serum, dokończył się ubierać i poszedł na zabawę.

Najszczęśliwszy. Najszczęśliwszy wypadek miał z pewnością Herbert Bowden, z Mt. Holly, N. J. Bowden nie widział na jedno oko przez ostatnie 22 lata, a specjaliści twierdzili, że nigdy nie odzyska wzroku w tym oku. Trzeba było wypadku, że rozpalony żużel wpadł mu w oko, a gdy żużel wyjęto i gdy ból przeszedł, Bowden po raz pierwszy od 22 lat przejrzał na to oko.

SPECJALNE wyróżnienie za zrobienie najgłupszej rzeczy w tym roku należy się młodemu Jerome Forman, lat 21, zamieszkałemu w Manhattan. Bije się on o pierwszeństwo z takimi jak ten mieszkaniec Arkansasu, który



Gdy krowa uderzyła w twarz umaczanym w mleku ogonem, Tabor kopnął ją, lecz tak nieszczęśliwie, że złamał duży palec u nogi. Lekarze musieli palec ten amputować.



Pewien jegomość, którego budzik nie chodził, począł go czyścić w naczyniu napełnionym gazoliną. Ilustracja przedstawia co się z nim stało. Jeden bajlif biegł ulicą i wrzeszczał "pożar", a ogień ze sobą w kieszeni nosił.



Truman Butler złożył gratulacje młodej parze, cofnął się o jeden krok i nagle znikł im z oczu. Po stronie lewej widzimy Charlesa N. Jones, z Los Angeles, który podczas leczenia go połknął rad wartości dwóch tysięcy dolarów.

trze ocaliło. zaczadzonego gazem Pancoasta.

Każdego niemal roku jakiś znany futbolista, dla którego walka na boisku nie przedstawia żadnego niebezpieczeństwa zostanie pokaleczony tam gdzie zdawałoby się że żadnego niebezpieczeństwa niema. W tym roku trzech takich znanych futbolistów a więc Bill Shakespeare, Tony Mazziotti i Jack Gleason, gracze z klubu Notre Dame zostali pokaleczeni na pikniku urządzonym przez studentki tegoż uniwersytetu.

Każdego roku jest postrzelony jakiś aktor, gdy używa podczas próby rewolweru który ma być nie nabyty. W tym roku postrzelonym został Edward Pechette, lat 35, z Bad Axe, Mich.

Pod względem natomiast liczby i rodzaju najrozmaitszych połkniętych przedmiotów, rok 1936 znacznie się różni od lat poprzednich. Pauline Lane, z Knoxville, połknęła metalową czapkę od laseczki zawierającej pomadkę na usta. Dziesięcioletnia Margaret Harbolic, z Buchanan, N. Y., włożyła pieniądze do ust i nagle podczas zabawy je połknęła. Mary Higgins z West Chester, Pa., również połknęła pieniądze. Ręce miała ona pełne groserii, a pół dolara włożyła do ust. Poślizgnęła się na lodzie i upadła, a podczas upadku połknęła pół dolara.

Robert Ford z Buffalo powiada, że to były tylko drobne. Ford włożył do ust zwinięte dwa banknoty, jeden dziesięciodolarowy i jeden jednodolarowy. Gdy przewrócił się połknął oba banknoty. Później gdy lekarze dawali mu środki na znieczulenie w przygotowaniu do operacji, Ford zakaszał i wykaszał najsamprzód dziesięć dolarów, a później jednego dolara.

Lecz nawet te 11 dolarów muszą się wydawać jako drobne pieniądze dla Charlesa N. Jonesa z Los Angeles, który gdy mu lekarz opatrywał leczone usta przy zastosowaniu radu, połknął rad wartości dwóch tysięcy dolarów.

W ROKU ubiegłym jak zwykle wiele niezwykłych wypadków przydarzyło się zwierzętom. Policja w North Syracuse, N. Y. opowiada w jaki sposób cenny pies myśliwski dostał licencję samochodu, który go zabił. Samochód uderzył w psa tak silnie, że pies został wyrzucony wysoko w powietrze. Gdy spadał na dół, spadł na tylną płytę samochodową i oderwał ją od samochodu.

Dwa szcury spowodowały śmierć Edwarda Frienda, w Chicago. Szcury weszły do jego samochodu, w którym były pudełka z czekoladkami. Szcury jadły w najlepsze czekoladki gdy do samochodu wszedł Fried. Nie zauważył on gości w swym samochodzie i puścił samochód w ruch. Szcury, którym czekoladki zasmakowały rzuciły się na niego, a on stracił kontrolę nad samochodem i wjechał na przydrożne drzewo.

Jeżeli kiedy doiliście krowę z pewnością zlitujecie się nad Elmerem Taborem z Caldwell, Mich. Gdy doił on krowę, ta umaczała ogon w mleku i uderzyła go w twarz. Tabor, któremu się ten krowi żart nie podobał, kopnął krowę lecz tak nieudolnie, że złamał duży palec u nogi. Lekarze zmuszeni byli palec ten amputować.

Paul Hofman z Danville, Pa. przypadkowo widłami uderzył w konia. Rozsztoszczony koń tak go kopnął że zabił go na miejscu.

Dwa małe pożary zasługują na uwagę. J. A. Jones, bailif sądowy w Council Bluffs, Ia. poczuł dym, więc wybiegł z sądu i począł krzyczeć — "pożar". Gdy biegł za nim szła smuga dymu wydobywająca się z jego kieszeni. Pożar powstał w jego kieszeni, do której włożył on swoją zapaloną fajkę.

Pewna kobieta wpadła do jednego domu w Phoenix, Ariz. i zawołała — "czy mogę użyć telefonu, mój samochód zapalił, się ja chcę zawołać straż pożarną". Budynek do którego ona weszła, był centralną stacją straży pożarnej.

Jeszcze jedno dziwaczne wydarzenie w roku 1936 zasługuje na wyszczególnienie. Truman Butler, bankier z Hood River, Ore., stojąc na ulicy złożył gratulacje i życzenia młodej parze, której ślub się dopiero co odbył i po złożeniu gratulacji nagle zniknął z przed oczu młodej pary. Zrobił on jednak krok w tył i przez otwór wpadł do kanału.

SZTUKA - MUZYKA - TEATR

LISZT PRZY WIŚCIE NA PODOLU

GDY rok jubileuszowy Liszta budzi o nim mnóstwo wspomnień, niechże i ja dodam swoje, jeszcze żywe, w legendzie nie zbłąkitalne, a z ust mego ojca otrzymane.

Tym bardziej, że ukazują się one na tle ówczesnego życia polskiego na Podolu, gdzie Liszt bawił w gościnie u hr. Przeździeckiej w Czarnostrowie — bawił przez czas dłuższy, uczestnicząc w życiu towarzysko — sąsiedzkim całej okolicy. Całkiem to inna była epoka niż dzisiaj, gdzie wirtuozi pędzą z koncertu na koncert ekspresami albo i samolotami. Wtedy podróżowali rzemieślniczym dyszlem i tak też zajeżdżał Liszt do Czarnostrowia na parotygodniowy pobyt.

Podejmowano go wspianale, nie odstępując jednak od swoich zwyczajów i przyzwyczajęń. A więc codzienne wycieczki, przeglądy stadniny, polowania nie ustawały, a łączyła się z nimi regularnie partyjka wista — był to jakby ówczesny bridge, — tylko nie tak nałogowy! — a Liszt tej gry był wielkim miłośnikiem. Pałacowa orkiestra dzień w dzień przygrywała licznym gościom, którzy zawsze chętnie podążali na zaprosiny hr. Przeździeckiej, a teraz byli jeszcze przyciągani chęcią poznania słynnego przybysza.

Huczne i gwarne było wtedy życie na kresach, a miało zawsze podkład kultury artystycznej o nieraz wysokim poziomie. Ówczesni ludzie mieli liczne zainteresowania, wzywali się w nie silnie, całym rozpędem swej szerokiej natury, sekundowanej doskonale wielką swobodą finansową. — Sztuki piękne znajdowały wdzięczne siedlisko we dworach kresowych. Gromadzono tam piękne meble, wartościowe obrazy, bogate księgozbiory, uzupełniane nieustannie nowymi tomami. Poważne pisma literackie miały tam licznych prenumeratorów, książki nabywców. Wiadomo, że np. firma Gebethner i Wolff zaznaczyła po wojnie, iż chwilowe zachwianie się przedsiębiorstwa było spowodowane odpadnięciem odbiorców kresowych. Muzyka była również uprawianą w kresowych dworach, gdzie nie brakowało jej ani wielbicieli, ani poważnie wykształconych wykonawców. Uprawiano ją dla siebie i dla domowników, w sposób poważny, wykonywując i słuchając ze skupieniem a często z wytwornym znawstwem.

W środowisku kulturalnym, w swobodzie i dobrobycie wielkopolskim czuł się Liszt doskonale i doskonale wypoczywał. To też nie lubiał grywać w licznych towarzystwach. Często, zamknięty w swym apartamencie, nie pokazywał się na salonach całymi dniami. A gdy zaszczylił reunion swoją obecnością, zasiadał najczęściej do kart, od których trudno było go oderwać na rozmowę, a coś dopiero do fortepianu.

Podobnie bywało, gdy Liszt wyruszył z Czarnostrowia na jaką wycieczkę po okolicy, jak to się nieraz przydarzało. — Przybył tak raz do rozległego dworu w Wodyczkach, w towarzystwie hr. Przeździeckiej i jej "dworu". Mozajkowe ściany wodzyckich salonów ja-

śniały w jarzącym świetle kandelabrow, mieniły się jedwabie kwintynnych toalet, elita towarzystwa okolicznego przybyła aby złożyć hołd wielkiemu artyście. Tymczasem Liszt usiadł, jak zwykle, do partii wista. Otwarty Pleyel czekał w wielkiej sali, lecz piękne damy prosiły i nalegały daremnie. Mistrz "rznął w karteczki", niezadowolony, że mu przeszkadzają.

W wodzyckim dworze chowała się gromadka dzieci. Otóż wśród ruchu i gwaru nikt nie zauważył maleńkiej figurki w aksamitnym ubranku z kryską, wychylającej się ostrożnie z fałdów kotary. Chłopczyzna — a był to mój ojciec — błyszczącymi oczyma wpatrywał się w grającego. Widocznie wlepił wzrok mocno w zajętego mistrza, jeżeli ten nagle zwrócił głowę i spojrzał w tamtym kierunku. Wszyscy poszli za jego wzrokiem, a matka, skonfundowana nieco podbiegła, aby dziecko zestrofować i pośłać spać. Lecz Liszt zerwał się od stolika, i uśmiechając się do matki i syna, zawołał z właściwym sobie nieco ironicznym humorem:

— Ależ proszę mi go pokazać! Niechże tchnę na niego talentem...

Wziął dziecko pod brodę, przypatrywał mu się dobitnie, a potem usiadł do fortepianu. Opowiadał mi ojciec, że grał mazurki Chopina, których rytm wyrzył się mu na zawsze w dziecięcej pamięci. A już jakby przez sen zasłyszał i zapamiętał słowa Liszta, które padły jako odpowiedź na czyjeś pytanie, kogo uważa za największego współczesnego muzyka. Była ona znów na pół ironiczna, na pół poważna, bo Liszt odpowiedział:

— Jeżeli idzie o wirtuozów, to oczywiście siebie... A jeżeli o kompozytorów, to Chopina.

Długo żyło w okolicy wspomnienie pobytu Liszta, przekazywane z pokolenia na pokolenie. Stare dwory rozbrzmiewały dalej muzyką, nieraz bardzo poprawną, nieraz świetną, aż zamilkły na zawsze, zmiecione przez dzicz bolszewicką z pięknej, bujnej podolskiej ziemi...

E. Zaleska-Dorożyńska.
Krzemieniec.

Pochwała Nart i Śniegu

(na zawody narciarskie).

Ta Muza jest naszą Muzą, drogi przyjacielu! Przypięte mamy do stóp narty i stoimy w śniegu. Kocham ziemię tętniącą od Tatr aż do Helu, ale więcej mi mówi nogi drżące niespokojnie przegub.

Ramiona wyrzucić, rozprężyć, krew i wiatr w nie wleć, napij kolana, rozprostuj je biegiem! Wbić chciałbym w twoje narty możliwość nowych lśnień i skuć je wolą jak śniegiem.

Wystrzel ku mnie poziomem, elastyczną kulą, odpowiem ci przestrzenią jak uściskiem ręki. Wielkie obszary bieli, które się w dal tułają, tęsknią do naszych kroków długich i cienkich.

Przypięto nam do nóg platformę nowych uniesień, wzniesimy się po niej w górę, stworzymy inny wymiar! Ta linia za nas mówi, jest wiotka i piękna jak jesień, szybka, bardziej zwyczajna od historii Rzymian.

Jeszcze tylko wepniemy w poziom wolę naszych nóg, a potem nóg nożyce werzniemy w śniegu aksamit i popłyniemy w dwóch potokach, potokach nowych dróg, dróg, które drążymy sami!

Jalu Kurek.

STRONICA 4



W pociągu kolei linii pennsylwańskiej powrócił do Washingtonu D. C. prezydent Franklin Delano Roosevelt, po odbyciu podróży, długość jakiej wynosiła 12,000 mil. Na stacji powitali go: pani Roosevelt, wiceprezydent Garner i p. Garner.

Malarskość Sienkiewicza

W DZIEDZINIE powieściopisarstwa Sienkiewicz należy do szeregu grona największych na świecie artystów, a i tych niektórymi wartościami swoimi przewyższa. Tak więc, na przykład, jako twórca krajobrazu malarskiego, jest on wręcz nie-dościgniony, a gdybyśmy w tym zakresie równego z nim "majstra" (jak mówił malarze) odnaleźć chcieli, musieliśmy wyjść poza ramy powieści i wskazać Mickiewicza.

Nie tylko krajobraz, ale wszelki w ogóle opis malarski — postaci, strojów, wnętrza i scen — ma w Sienkiewiczu mistrza pierwszorzędowego. — Wydaje się niemal, że Sienkiewicz nie umie pisać nie po malarsku. Tym sposobem najlepsze jego utwory zatopione są — rzecz można — w plastyce malarskiej, — nie w rzeźbiarskiej, lub rysunkowej, lecz mianowicie w plastyce kolorystycznej.

Że taki talent malarski w powieściopisarstwie sam przez się wielką jest rzadkością, o tym każdy naocznie przekonac się może, gdy z dorobkiem Sienkiewicza porówna najlepsze dzieła najwybitniej-

szych na świecie powieściopisarzy. Prawie wszyscy albo całkiem są plastyki pozbawieni, albo ją mają szarą, zamazaną, niezgrabną i z wielkim trudem osiągną, świadomie przeto jej unikają.

W szczególności upośledzony jest w powieściopisarstwie opis krajobrazowy. Tak oto, na przykład, w wielu powieściach Balzaca na przestrzeni trzystu stron znajdujemy przeciętnie dziesięć do trzydziestu wierszy, poświęconych krajobrazowi, którym, zresztą, bywa czasem poprostu zły lub dobry stan pogody... Albo, na przykład, w powieści Dickens'a "Dawid Copperfield" — typowym dziele tego autora — poza kilkoma ogólnikowymi i nieplastycznymi uwagami o położeniu domu, szkoły lub willi, znajduje się tylko jeden opis krajobrazowy — burzy nad brzegiem morza, opis wysilony i niedołężny.

Powieści, wymienionych tu, oraz wielu innych znamienitych pisarzy zawieszono są niejako w próżni bezpowietrznej, p o z b a w i o n e nieba i chmur, ziemi i wód, słońca i gwiazd, lasów i pól, wicherów i ciszy — tych pięknych szat globu, na którym tak krótką pobytamy gościną. Niektórzy, jak np. Wiktor Hugo, są w krajobrazowej plastyce swojej przesadnie i teatralnie, inni, jak London np., marnują talent swój przez brak kultury, lub jak Żeromski, który ciężarem drobiazgowej obserwacji z opisów swoich robi nie krajobrazy artystyczne, ale, raczej, ciekawe zresztą, tablice krajoznawcze. Z pośród mnóstwa tych i innych wyróżniają się bardzo nieliczni prawdziwi artyści krajoznawcy, jak np. Kipling lub Guy de Maupassant, ale i ci w kolorystyce Sienkiewiczowi dorównać nie mogą.

Oprócz krajoznawstwa istnieje w powieściopisarstwie wszelki inny opis malarski, może do-stępniejszy dla oczu wielu autorów, ale niemniej trudny. — Nieplastyczność i bezbarwność opisów tych jest powszechna, a w nich, jak zresztą i w o p i s a c h krajoznawczych, zwraca uwagę pewna naiwność i nieporadność czysto

techniczna, której biegunowe przeciwstawienie m a m y w artystycznym mistrzostwie Sienkiewicza. Oprócz wyjątków, z pośród których wymienię Kiplinga i Maupassanta, pisarze powieści postępują zazwyczaj w ten sposób, że wszelki opis plastyczny wyodrębniają od biegu akcji i umieszczają go osobno, a nadto obciążają go takim nagromadzeniem szczegółów, że ginie opis, a pozostaje tylko spis komornika...

Więc oto, na przykład, Balzac zatrzymuje akcję dla opisu stroju, a w stroju wymienia po kolei wszystko: frak miał taki, kamizelkę taką, spodnie takie, pończochy, trzewiki, a w rękę trzymał taki oto kapelusz i t. d., słowem — opis krawiecko szewski, a nie artystyczny. Albo, np. sławny ze swojego stylu Flaubert umie całe stronicę wypełniać spisami przedmiotów, co robi wrazenie katalogu muzeum. Żeromski, pomimo bliskości wspaniałych wzorów sienkiewiczowskich, przerywa akcję, stawia kropkę, zakasuje rękawy i zabiera się do osobnego opisu krajoznawstwa, który sam przez się bywa u niego ciekawy, ale w związku z całością stanowi wyrwę w budowie i poważną wadę sztuki.

U Sienkiewicza przeciwnie. Wszelkie jego opisy tak są wplecione w bieg zdarzeń i rozmów (w akcję), że rozrwać ich niepodobna, a tak są zwarte i trafne, że jedno słowo za cały opis wystarczy. — Czytelnik nie spostrzeże nawet, kiedy i jak otrzymał od autora przepyszny krajoznawstwo, doskonałą s c e n e, świetne wnętrza, oraz galerię strojów i przedmiotów, a wszystko, rzecz można, w całym pędzie zdarzeń bodaj najgwałtowniejszych, jak bitwy, pojedynki, ucieczki.

Może kto powie, że to technika. Tak. Niewątpliwie. Ale nie ma techniki bez uprzedniej wyobraźni plastycznej — bogatej, żywej, barwnej. Nie jest to chyba przypadkiem, że Sienkiewicz należy do pokolenia Chełmońskiego, Flakata, Wyczółkowskiego — licznej plejady malarzy, których twórczość była jednym wspaniałym wybuchem polskiej malarskości.

Stanisław Pieńkowski.

ZE ŚWIATA SREBRNEGO EKRANU

Pisze Korespondent Dziennika Związkowego, Halina U. Rekwart

Hollywood, 2. grudnia 1936.

STARY-NOWY ORLEANS w roku 1873... Innymi słowy, odbicie tragedii "Południa" po szeregu walk straconych i doszczętnego zdemolowania całego okolic... Rehabilitacja pozostałej ludności... Ich zmaganie się z nowymi porządkami... i troska, że braku im "państwa", dla których życie swe poświęcali, i co teraz, z tego życia, zabrało im perspektywę... Czarna brać oburza się na narzuconą im "wolność"... Chcą należeć do kogoś; pustkami świecą olbrzymie dwory... Nie masz ich "quality folks"...

By choć w części być do kogoś przynależną, Toinette, nigdyś w służbie rodziny Detrawa, tajemniczo wychowuje, rzekomo uratowane z ognia, chłopię... Philip jest do niej sercem i duszą przywiązany... Już dziś, ośmioletnie dziecko, dorabia na ich utrzymanie sprzedając kwiatów, z ogrodu, o czym nie wie, swych własnych rodziców... Toinette nie spuszcza dziecka z oka... Jest on dla niej wszystkim — czaruje przechodni nie tylko pięknym ułożeniem, lecz i swym, o olbrzymiej skali cieniowania lirycznego — głosem...

Spokój zamąca Toinette sumienie, że kiedyś musi dziecku o jego pochodzeniu wyznać... Zwracają jej wszyscy na to uwagę... Interweniuje i ksiądz Józef, twierdząc, że dziecko wymaga kształcenia. W krótkim czasie, za pośrednictwem księdza, przyznaje Toinette, czym dzieckiem jest Philip... Nieunikniona rozpacz i choroba Toinette z jednej strony, złamane serce dziecka, niegodziwość i brutalne postępowanie wobec Philipa ze strony nowych krewnych, z drugiej strony — dopełniają czarę gorzkiej nadzwyczajnego romanisu "Południa" z okresu 1873 roku.

Wytwórnia Principal Productions ujęła w piękne ramy cały przekrój noweli pióra p. C. Jamison "Toinette's Philip" w film śpiewany "Rainbow On The River". Młodzi artysta BOBBY BREEN, podczas preview prasowego wczoraj, czarował swym nadzwyczajnym repertuarem i odbierał niemiłkające brawa... Nie mniej wiwatowano tragi-komicznej Tinette LOUISE BEAVERS; MAY ROBSON, w roli magnatki Ainsworth a babki Philipa; Charles Butterworth w roli lokaja domu Ainsworthów...

Chóralne interpretacje roboczej braci murzyńskiej przy okrętach i polach zbioru bawełny — wykonane są z precyzją przez sławny chór Hall Johnson Singers; St. Luke's Choisters występują z szeregiem pieśni kościelnych i jako wtór do rendycji "Ave Maria" Schuberta, z patosem i łąz w głosie odśpiewaną przez Bobby Breena tuż przed opuszczeniem ukończonej Toinette — która, wpatrzona w niego, zalewa się gorzkimi łzami... Czuje ona, że z jego odjazdem zbliża się jej koniec — życia...

Zbiegiem okoliczności, również wczoraj wieczorem, odbyła się rewia RKO, p. t. "WINTERSET".

Tu, treścią, obraz przypomina niepewność jutra tych, którzy obrali za fach — zbrodnię. Gdzie prawo ich przeoczy, zbrodniarze, w obawie przed wydaniem jeden drugiego, przerywają sobie, przedwcześnie, pasmo nieraz bardzo mło-

dego życia... Każdy ich krok znaczony jest śladami niewinnie przelewanej krwi... Ślady giną; rzeka w New Yorku, w zapadłej dzielnicy, żadna jest ofiar...

Główne role kreują Burgess Meredith i Margo.

"Prop man", czyli kierownik ekipaży połączonego z każdym produkowanym obrazem, według Hollywoodu, jest nieomylnym!

Że jednak mylą się i oni dowodzi fakt, że w szeregu sześciu kogutów, nabytych przez propmana do staczania walk w filmie "Swing High' Swing Low", na lokacie w Panamie, gdzie walki te są dozwolone, znalazł się jeden, znoszący dzień dziennie jajko...

"Sam nie wiem jak się to stało," tłumaczy się propman, "może dlatego że ten gatunek drobiu ma jednako odróżnione grzebienie, i trudno odróżnić pięć..."

Koguta-kurę skreślono z listy aktorów i kto wie jaki los spotkałby go-ja, gdyby nie interwencja czulej bohaterki filmu, Karoli Lombard... — "Przepadam za świeżymi jajami", stanęła Karola w obronie koguta-kury... "Pierwszy raz w życiu jestem pewną, że jajko podane mi jest świeże... Proszę pozwolić stworzeniu żyć..."

PRZEZ TELESKOP: REGINALD DENNY przypomina sobie, jak raz pewnego wyznał w głowę widzami Jack Dempsey... po przyjacielsku... Ani się spostrzegł, że miał do czynienia z olbrzymem... Walki dotrzymał, obawiając się, że w przeciwnym razie, Jack wzięłby nad nim górę... Rozmyśla do dziś coby to z nim wówczas się stało, gdyby tak Jack wyczuł, że Reginald się go boi... **BOB BURNS** sprzeniewierza się swej "bazooce". W następnym filmie będzie grał na gitarze... **ADOLPHE MENJOU** nabył aparat kinematograficzny, by dziennie rekonstruować postępowanie nowoadoptowanego synka Piotra... **HELEN MACK**, uroczą brunetkę z filmu "I Promise To Pay" Columbii, twierdzi, że najwygodniej się czuje w garniturach męskiego kroju. Satynę, welwet toleruje nieledwie, i to tylko w strojach wieczorowych... **BETTE DAVIS** powróciła wreszcie z Europy i w progi wytwórni Braci Warners, gdzie w tych dniach rozpoczyna film "Marked Woman." — **KAY FRANCIS** jest pierwszą aktorką filmową, która otrzymała nagrodę na rok 1936 Fashion Academy, jako najlepiej ubierająca się kobieta w Ameryce. W poprzednich latach wybrankami były Prezydentowa Roosevelt i pani Harrison Williams... Jeśli — **JOAN BLONDELL** nie pracuje danego dnia w atelier, przygotowuje własnymi rączkami obiad dla małżonka — **DICK POWELLA**... Dick coraz rzadziej uczęszcza na obiady poza domem... Przeczuwając, że po rozpoczęciu filmowania "Interlude" prima donna nie będzie miała wiele czasu do załatwiania z a k u p ó w "christmasowych", pomysłała GRACE MOORE, poczyniła je miesiąc temu, zakupując ciekawe podarki, tu i ówdzie, podczas tury europejskiej.

WINETKA

"Jestem strasznie zadowolona z pobytu mego w Hollywood, gdzie wszystko postę-



Tak wielka liczba kandydatek na "Miss Radio 1937" zgłosiła się do konkursu, że sędziowie zmuszeni byli wybrać aż trzy. I tak Virginia Verrill przedstawia doskonały typ egzotyczny; Virginia Simms typ piękności klasycznej a Doris Kerr wyszczególnioną została dla swej wspaniałej figury.

puje naprzód na olbrzymią skalę, zapierając w człowieku oddech..." dzieli się z nami pięknością brytyjską, MARGOT GRAHAME, swą opinią o Hollywood... "Wprawdzie metody produkcji nie różnią się wiele od metod w Brytanii. Raczej ilość wszystkiego zdumiewa nowoprzybysz."

Czarująca artystka, która twierdzi, "że przybyła do Ameryki li tylko w celu zobaczenia się z małżonkiem, Franciszkiem Lister", przyznaje, że raz znalazłszy się na terenie Hollywoodu, nie była w stanie oprzeć się pokusie rozpoczęcia swych filmów i w Stanach Zjednoczonych. — Kobieta, której rodzice opowiadali ostro jej wybór kariery aktorki, przekonała nie tylko ich, w końcu, że jest urodzoną artystką, lecz, niebawem, i cały artystyczny świat.

Z chwilą, gdy Hollywood dowiedział się o jej zamiarze pozostania tutaj, zaczęły napływać oferty zewsząd, i do dziś nie wie uroczą Margot, jak się uporać by nikogo nie obrazić, i nie za dużo obowiązku przyjąć na swe dzielne barki.

PANI GRAHAME, choć rodem z Canterbury, w Anglii, dzieciństwo spędziła w południowej Afryce, dokąd udał się jej aktor-producent ojciec w mniemaniu, iż tu było dla niego pole do popisu... W tajemnicy przed rodzicami, którzy karcili ją za artystyczne aspiracje, wystąpiła Margot w sztukach produkowanych w wyższej szkole w Afryce, i momentalnie spotkała się z wielkim uznaniem. Uznał jej talent wreszcie i ojciec i dopomógł w uzyskaniu posłuchu znawców londyńskich... Od

tego czasu Margot wystąpiła w 41 filmach angielskich... no i kilku amerykańskich, między innymi w "The Informer" z Wiktorem McLaglen i "The Arizonian" z Richardem Dix. Oba tych panów Margot chwali pod niebiosa... W ostatnich dniach rozpoczęła film "Michael Strogoff", R. K. O... Dyrektor Charles Vidor tak się wyraża w podnoszeniu z a l e t popularnej gwiazdy: "Pani Grahame jest najbardziej "kobieca" młoda kobieta w filmach, i reprezentuje kobiecość w najwyższym stopniu... Wyrokuje, że zapoczątkuje ona nową erę typu, jaki jest dziś wymagany przez audiencję od ich ulubieniec ekranu."

HUMOR

ŚW. MIKOŁAJ

Dwie stare panny, przechodząc koło Św. Mikołaja, zbierającego datki na biednych, rozmawiają:

— A czy powiedziałas Św. Mikołajowi, co sobie życzysz na Gwiazdkę?

— Tak... i wiesz co, ten stary głupiec się zarumienił...

STARE ZAMCZYSKO

Turysta: — Co, tylko jedną jedyną armatę miał dawny pan zamku?

Przewodnik: — Tak, ale ona miała dziesięciokrotne echo.

W LEGII CUDZOZIEMSKIEJ

— Czemu byliście w cywilu?

— Aktorem.

— No, to odgrywajcie teraz żołnierza.



WRAŻLIWY

— Patrz pan, na jakie sposoby biorą się te antysemitniki. Pan rozumiesz tę przenośnię: Boy i kot, to razem znaczy bojkot!



Ucichły pogłoski o ślubie Barbary Stenwyck i Roberta Taylora, a to dlatego, że każde z nich buduje swój własny dom.

Dla Naszych Najmilszych Dla Działwy i Młodzieży

W Noc Świętą Idzie do Was Bóg

A gdy już gwiazdka złota, cudowną noc zapowie i kędyś przewspaniały rozepnie świetny łuk skrzydlaci aniołowie uchyla niebios wrota a wśród niebieskiej chwały na ziemię zstąpi Bóg! — żadnej On ludzkiej siedziby nie minie, odwiedzi każdy próg, a kędy zajdzie — wszędy ukoj i pocieszy.

Nie widzą oczy nasze, jak On wyciąga ręce, jak łamie się opłatkiem z wszystkimi w krąg — a jednak, w tę Noc Cudu uderza pierś gorącą.

I do Was, Działwo Droga, On przyjdzie w tę Noc Świętą; uśmiechem Was powita, pogladzi każdą skroń; a chociaż nie zapyta — powitaj Go u progu i z twarzą uśmiechniętą, ochotnie się garnij Doń!

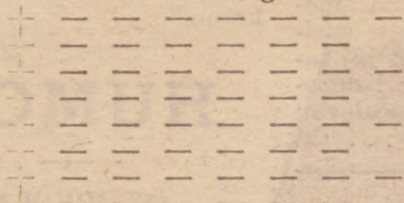
Lecz zanim gdzieś zaświeci ta gwiazdka ponad progiem — musimy mieć serca czyste, myśli jak lilii kwiat — inaczej Droga Dzieci, choć się narodzi Chryste, brat bratu będzie wrogiem, zło toczyć będzie świat!

W Noc Świętą idzie do Was Bóg!



Dla Nauki i Rozrywki

Łamigłówka.



Na miejsce krzyżyków i kresek wpisać litery wyrazów o następującym znaczeniu: 1. gatunek ciasteczek; 2. imię dziewczynki; 3. kto mieszka w sierocińcu? 4. imię generała w sukmanie; 5. inaczej wychódca; 6. nieść ratunek; 7. mała kropla; 8. część świata.

Litery wpisane na miejsce krzyżyków dadzą nazwę pierwszej mszy św. odprawianej na pamiątkę narodzenia Chrystusa.

* * *

Rozwiązanie z poprzedniego tygodnia: wigilia; życzenia, łakocie; opłatek; brylant; imitacja; edukacja; Ilijka; egzekwie; żółędzie; tygrysica. Wyraz początkowy: W Żłobie Leży.

JĘDRUŚ I BARBARKA

Dzisiaj jest wigilia. W kuchni smaży się ryby; w pokoju stoi choinka.

Gdy wszędzie pierwsza gwiazdka zapala się światła na niej.

Jędrus i Barbarka stoją na ganku. Czekają na pierwszą gwiazdkę.

— O, patrz! patrz! Już jest — woła uradowany Jędrus.

Barbarka także ją zobaczyła.

— Czy to aby prawdziwa betleemska — dopytuje się niespokojnie Jędrus.

— Prawdziwa, prawdziwa! zapewnia Barbarka.

— To ona prowadziła wszystkich do stajenki?

— Ona!

— A nas zaprowadziła?

Barbarka namyśla się.

— Możeby i zaprowadziła...

— To chodźmy za nią!

— Chodźmy!

Dzieci wzięły się za ręce i zbiegły z ganku.

Droga szła prosto przez ogród. Dzieci uszły spory kawałek.

— Daleko jeszcze? — pyta Jędrus, bo mu uszy zmarzły.

Uszły jeszcze kawałek.

— Teraz to już chyba będzie Betleem...

Ale Betleemu nie było.

— Może wrócimy i pójdziemy jutro od samego rana?

Wtem patrzą dzieci czerniejąco przy drodze! Przyglądają się: daszek, ściany. Pewnie stajenka betleemska! — Pewnie to ona. Biegną... a to kapliczka. Drzwi otwarte... Zajrzeli.

Zobaczyli w stajence małego Jezuska.

Jezusek był sam. Ani przy nim Matki Boskiej nie było, ani pastuszków, ani woła i o-

siołka, by Go swym oddechem rozgrzewali. Nawet biedny Jezusek nie ma żłóbka, wysłanego sianem; bosymi nóżkami stoi na zimnych ceglach.

Dzieci patrzają a tuż przed sobą kapliczką rośnie malutka sosenka w śniegu.

Popatrzył Jędrus na Barbarkę, a Barbarka na Jędrusa. Już wiedzą co zrobić; przyniosą ze swojej dużej choinki najpiękniejsze świecidełka. — Przystroją nimi sosenkę przed kapliczką. Niech mały Jezusek ma także choinkę.

I kiedy przyszła noc, w polu, na śniegu przed kapliczką stała ślicznie ustrojona choinka.

Pan Jezus z kapliczki wyciągał do niej ręce i cieszył się.

Wtedy właśnie Jędrus i Barbarka zasnęli w ciepłym pokoju pod dużą choinką.

Na gałązkach w tych miejscach, z których zdjęli cacka, aby je zanieść Jezusowi, wiszą teraz prawdziwe srebrne i złote gwiazdy.

Na wierzchołku zaś sam Pan Bóg zawiesza najpiękniejszą, prawdziwą Gwiazdę Betleemską.

— Cicho! Cyt! — mówi do bry Pan Bóg do aniołków, które szeleszczą skrzydełkami. — Nie trzeba budzić dzieci, niechaj śpią...

W WIGILIJNY WIECZÓR

Na choince światła płoną,
W szczęściu serca wszystkich
toną,
Radość bije z czoł!

Zastawiono pośród chaty,
Biały, jako lilii kwiaty
Wigilijny stół!

A po polach jakieś granie,
Cudne granie i śpiewanie,
Niby z jakich nut!

Las w cichości pieśni słucha,
Wierzba dziwi się starucha
U rozstajnych dróg!

Bo tak nawet nie grywali
Pastuszkowie co pasali
Stada białych trzód!

To Anieli święci grają,
Ziemi, ludziom ogłaszają,
Że się rodzi Bóg!

Z tej Przeczystej, z tej Lilii,
Z tej Najświętszej, z tej Marii,
Co króluje nam!

By udzielić nam pociechy,
By odkupić nasze grzechy,
Bóg przychodzi sam!

WIGILIA JANKA

Janek był synem ubogich rodziców, toteż cierpiał głód i niedostatek.

Pewnego dnia rzekła do niego matka:

— Jasiu, musisz iść do lasu po gałązki, aby było czym palić podczas świąt.

— Prawda, zapomniałem, że to dzisiaj jest wigilia. Mamusi, czy będziemy mieć w tym roku choinkę?

— Nie, kochany syneczku, nawet lepszego jedzenia mieć nie będziemy, bo tatuś zarobić nie mógł, gdyż jest chory.

Jaś posmutniał bardzo na taką wiadomość i wdychając skierował się w stronę lasu. Czuł się bardzo nieszczęśliwym. Po drodze spotkał kolegów.

— Jak się masz, Jasiu? Czy ty także idziesz po choinkę — zapytał Antos, syn bogatego kupca.

— Nie, Antosiu, idę po gałązki. My w tym roku nie mieć nie będziemy na święta, bo tatuś chory...

— Nie martw się Jasiu, Bóg nie zapomina o biednych.

Podali sobie ręce i rozeszli się.

Antos współczuł Jasiowi; przecież to jego kolega. A możeby uczynić niespodziankę Jankowi? — pomyślał Antos. Tatuś mój pewnie mi nie odmówi...

Gnany myślą o sprawieniu Jankowi radości, przybył do domu i wszedł do pokoju, gdzie był ojciec.

Ojciec zobaczywszy Antosia zapytał:

— A co chciałbyś na gwiazdkę?

— Tatusiu, ja dla siebie nic nie chcę!

— Jak to, przecież zawsze marzyłeś o koniku?

— Tak, ale dzisiaj mam inne życzenie i prośbę.

— Cóż więc chciałbyś?

— Chciałbym, żeby gwiazdkę przeznaczoną dla mnie otrzymał Janek.

— Któż to jest Janek?

Tu Antos opowiedział ojcu o swoim biednym koledze.

Ojciec pomyślał chwilę, potem powstał, pogłaskał syna po głowie i rzekł:

— Dzisiaj i Janek dostanie coś na gwiazdkę, aby nie był smutny w dzień wigilii.

Już zmrok zapadał, gdy Janek z dużą wiązką suchych gałęzi wracał do domu. W progu spotkał wyglądającą na niego matkę.

— Rzuć prędko tę wiązkę i chodź się ogrzać, kochany nasz mały opiekunie!

Zdziwiło to Janka. Jeszcze nie rozwiązał wiązki, a mama mówi o zagraniu się. Przecież

wczoraj nie było węgla. Lecz pośpieszył prędko za matką. Już w progu uczuł rozkoszne ciepło rozchodzące się od żelaznego piecyka.

— Skąd mamusia wzięła węgiel?

— Cicho synku, nie pytaj, potem się dowiesz. Teraz się umyj i przebierz czysto, bo nadchodzi Święta Noc.

Umyty i ubrany, wyszedł na próg, a gdy zobaczył na niebie pierwszą gwiazdkę, cicho wyszeptał: — Jezu dziś narodził się, błogosław wszystkim. — Przywróć tatusiowi zdrowie!

Gdy wszedł z powrotem do mieszkania, ogarnęło go zdziwienie; w rogu stała śliczna choinka a pod nią podarki. — Spojrzał na stół... leżały na nim różne smaczne potrawy i przysmaczki.

Janek spojrzał na choinkę i wtedy przypomniały mu się słowa Antosia, odgadł więc zaraz, kto był sprawcą, że nie byli głodni w wieczór wigilijny.

Na drugi dzień Janek zaraz rano pobiegł do kolegi. Gdy dziękował, ojciec Antosia rzekł:

— To Dzieciatko Jezus uczy nas dobroci i miłości. Ono żyje sobie, by w tym dniu nikt nie płakał, aby wszędzie była radość i wesele".



A Gdy Zabłyśnie Gwiazda

A gdy zabłyśnie gwiazda
Na szafirowym niebie,
Sam Jezus na ziemię zstąpi.
Odwiedzi każdy próg
I jako dobry gazda
Da wszystkim przykład
z siebie.

Wieczerać będzie z nami,
Zasiadłszy w gronie sług,
Wtedy niech każde serce
Przed Gościem się otworzy:
Uskarżmy się na krzywdy,
Na gorycz swoich mąk,
A zniknie z piersi ból
I wróci uśmiech zorzy
Pod tchnieniem słodkim ust
Dotknięciem boskich rąk!

Jeno w tę noc,
Gdy z niebios zstąpi Chryste
I zajdzie tu,
Do wnętrza naszych chat,
Musimy mieć
Jak kryształ serca czyste
I każda myśl ma być
Jak lilii kwiat!

Drogiej Naszej Młodzieży Polskiej zasylamy życzenia Wesołych Świąt! Niech spełnią się Wasze wszystkie zamiary; niech Wam zdrowie służy, abyście chwalnie swe obowiązki wykonać mogli i rośli na chlubę imienia polskiego!



Chcesz Pokoju? to Gotuj się do Wojny

Osobliwości włoskiej atmosfery — Wojenne nastroje — Program zbrojeniowy — Rewie, przeglądy i ćwiczenia — Gałązka oliwna i bagnety — "Pace armata" — Rozwiane iluzje — Z kim i przeciw komu?

Rzym, w listopadzie.
KTO dłuższy czas przebywa we Włoszech z a u w a ż a szybko, że atmosfera Italii faszystowskiej bezustannie nasycana jest coraz nowymi ładunkami elektryczności. Poprostu ludność przyzwyczaiła się już do życia w stałym napięciu, do niekończących się manifestacji, zgromadzeń publicznych i pochodów. Codzień wyrwa się dzienniki z rąk rozkrzyczanych sprzedawców ulicznych i szuka przede wszystkim nowin politycznych. Przypisać zaś trzeba, że nawet prosta zupełnie ludność znakomicie orientuje się w bieżących zagadnieniach politycznych. Służąca, czy szofer takśówki potrafią z zapalem dyskutować na temat upadku autorytetu Ligi Narodów, błędów Edena, czy przyszłości Paktu czterech. Przyczynia się do tego w dużej mierze fakt, że gazety włoskie prawie w całości poświęcają swe łamy polityce. Wiadomości potoczne i kronikę wypadków drukuje się petitem na ostatniej stronie, a drobne zagadnienia przepisy ministerstwa prasy i propagandy dokładnie określają, w ilu wierszach podać można notatkę o zderzeniu ulicznym, zabójstwie czy kradzieży. Samobójstw zaś wogóle nie wolno w prasie opisywać...

Nie można zresztą powiedzieć, aby dziennikom tutejszym brakło materiału do nieustannych wydań nadzwyczajnych z tłustymi nagłówkami przez całą kolumnę. W ciągu długiego okresu przygotowań kampanii abisyńskiej, a potem przez siedem miesięcy walk — wojna zaprzętała bez reszty uwagę społeczeństwa. Potem przyszło zwycięstwo, wielkie "adunaty" na placu Weneckim, wreszcie proklamowanie cesarstwa.

Dziś wojna w Afryce należy już do przeszłości, choć za interesowanie ludności włoskiej znów obraca się dokoła wojny. Tym razem jednak innej — europejskiej! Mussolini bowiem, pochłonięty sprawami abisyńskimi i zmaganiem z sankcjonizmem genewskim, mniej się przez czas niejąki zajmował problemem zbrojeń europejskich. Z tem większą energią i właściwym mu temperamentem przerzucił się teraz ku temu zagadnieniu, a wraz z nim i cała opinia publiczna Włoch.

Zaczęło się kiedy Duce niespodzianie wystąpił na posiedzenie rady ministrów ze swym głośnym programem zbrojeniowym. Z punktu widzenia fachowego stanowi program ten przede wszystkim zapowiedź znacznego wzmocnienia zaopatrzenia technicznego armii. Kosztem ca. 2 miliardów lirów dokona się całkowitej modernizacji i ujednolicenia uzbrojenia. W tym celu wielkie zakłady przemysłu wojennego otrzymały — jak wiadomo — nakaz zwiększenia ilości godzin pracy z 48 na 60 tygodniowo.

Od tego dnia prasa włoska uderzyła na alarm, codziennie prawie podając szczegóły przygotowań wojennych innych państw i wzywając do wyłączenia wszystkich sił dla należytego uzbrojenia Italii. Rozpoczęła się też serja różnego ro-

dzaju rewii, przeglądów i ćwiczeń armii, milicji faszystowskiej, karabinierów i organizacji przysposobienia wojskowego. Można się było wówczas przekonać, że wyszkoleniem wojennym i musztrą, jednolitością uzbrojenia i umundowaniem wszystkie te organizacje właściwie nie ustępują najbardziej regularnej armii, że społeczeństwo włoskie zmilitaryzowane jest do głębi, do dziesięcioletnich "balilów" z dumą i niewzruszoną powagą dźwigających karabiny większe od nich samych.

Podczas niedawnego przeglądu "związków bojowych młodziży faszystowskiej" (Fasci Giovanili di Combattimento) ujrzeliśmy wszystkie rodzaje broni: zmotoryzowaną piechotę, kawalerię, czołgi, artylerię, formacje łączności, oddziały gazowe, nie brakło nawet lotnictwa — szybowcowego narazie. A członkami tych "Fasci" są 18-letni chłopcy szkoleni wojskowo przez instruktorów-oficerów armii regularnej. Organizacja liczy dziś 1,270,450 członków i ponad 15 tys. instruktorów!

O tej właśnie młodzieży myślał Mussolini, kiedy przed kilku dniami mówił w Bolonii o lesie ośmiu milionów bagnętów, w cieniu których Italia hoduje swą gałązkę oliwną pokoju. Sama cyfra wydaje się być jednak — zdaniem fachowców wojskowych — dosyć przesadzona. Oznaczałaby bowiem możliwość zmobilizowania 20 proc. ludności Włoch uwzględniając już wojska kolonialne, a doświadczenie wojny światowej wykazało, że Niemcy maksymalnym wysiłkiem zdobyły się w ostatniej fazie walk na uruchomienie 14-15 proc. swej ludności. Tak intensywna mobilizacja odbiła się przytem ujemnie na jakości materiału ludzkiego. Mussolini, chcąc dysponować armią ośmiu milionów, musiałby wcielić w jej szeregi chyba także "Balille", której członkowie są w wieku wyrażającym się... jednocyfrową liczbą.

Wielkie, mediolańskie przemówienie Duce znane jest już całemu światu. W dużej części było ono poświęcone właśnie sprawom zbrojeń i groźby wojennej. Rozbrojenie nazwał Mussolini iluzją i stwierdził, że nikt nie chce się rozbrajać pierwszy, a rozbrojenie powszechne jest niemożliwe i absurdałne. Trzeba tu podkreślić, że Włochy współpracowały niegdyś bardzo intensywnie w pracach komisji rozbrojenia Ligi Narodów i sam Mussolini jest twórcą daleko sięgającego planu rozbrojenia Europy i świata. Dziś przyszedł do przekonania, że wysiłki te były daremne. Mowę zakończył więc dyrektywą dla faszystów na XV rok ery faszystowskiej: "Chcemy pokoju ze wszystkimi, z sąsiadami i z dalekimi, lecz pokoju zbrojnego." Pace armata...

Naród włoski gotuje się więc na wypadek wojny. Z kim przy boku i przeciw komu będzie Italia wojnę prowadziła? Konstelacja polityczna Europy tak jest dziś zamglona, że najwytrawniejsi politycy nie umieją się w niej rozeznaczyć. Sprzeczności polityczne i sprzeczności ideologiczne za-

Przykry Sen Pipmana

NIE każdy może uwierzyć, ale tak było naprawdę. Pipman wypuścił się podróż balonem!

Naturalnie tylko we śnie. Tyle się ostatnio naczytał o bohaterskich lotnikach, tyle razy marzył, że jest jednym z nich, że wreszcie mu się udało.

Przyśniło mu się, że on Pipman, wypuścił się w podróż balonem... Zegnają go tłumy, owacje, entuzjazm... Pipman rośnie z dumy, radość go rozpiera...

Po raz ostatni macha chusteczką i balon podrywa się w górę... Leci, leci, ziemia jest coraz mniejsza i...

Nagle radość znika z serca Pipmana. Wstrząsa nim zimny dreszcz.

— Co? — szepcze. — Oni mnie naprawdę puścili sam na sam z balonem?... Dobrze, że wsiadłem. Ale jak ja wysiądę?

platają się wzajemnie w jeden gordyjski iście węzeł. Lecz uważniejszy obserwator bez trudności dostrzeże istnienie stałego związku przyczynowego między przygotowaniami wojennymi Niemiec, a zbrojeniami Włoch. Ileż Rzesza dokonała nowego kroku naprzód na tem polu, tyleż Italia za nią podąża. Niedawno właśnie Niemcy zademonstrowały w Norymberdze całą swą potęgę, a Fuehrer oświadczył, że jest gotowy do wojny... Więc przyjaźń i komplementy swoją drogą, a wyostrzona czujność nad tyrolską granicą — też swoją. Taka właśnie opinia przeważa wśród tutejszych dziennikarzy zagranicznych — nie wyłączając niektórych niemieckich.

Si vis pacem — para bellum...

A balon leci i leci, coraz wyżej coraz wyżej.

— Może już dosyć! — ryczy Pipman, choć tylko sam jest w koszu.

Ale balon nie słucha i leci.

— Ładna historia! — myśli Pipman. — Poco mnie to było? Kiedy to się skończy? Kiedy się zatrzyma?

I Pipman z tęsknotą wspomina lądowe środki lokomocji.

— Co jest pięknego balon? — wzdycha. — Dorożka, to ja rozumiem! To jest naprawdę piękna rzecz. Traci się dorożkarza w plecy i już staje. Ale jak zatrzymać taki balon?

Mózg Pipmana pracuje. — Chce sobie przypomnieć, co on wie o balonach. Raz w życiu miał do czynienia z balonem, kiedy był jeszcze chłopcem. — Wujaszek Zaleman kupił mu duży czerwony balon. Ale tamten balon to był spokojny balon, nie taki wariat, jak ten. Jak się pociągnęło za sznurek, to odrazu zjeżdżał na dół.

— Może trzeba — wypuścić powietrze? — myśli zrozpaczony Pipman.

I nagle!... Pipman widzi, że balon to wcale nie jest balon, tylko mocno wydęta jego żona Regina! A kosz, to jest zwykły kosz do bielizny, który Regina ciągnie z nim coraz wyżej.

— Regina! To ty? — wrzeszczy w górę Pipman. — Kto cię tak nadmuchał?

Regina uśmiecha się szatańsko.

— Chciałeś się puścić, co? I z kim? Z balonem? Nie ma tak dobrze! Ze mną się tylko możesz wypuszczać!

— Dobrze! — krzyczy Pipman. Ja nawet wolę, że to ty, a nie balon. Przynajmniej się będę mógł dogadać. Ale może już dosyć tego latania? — Spuśćmy się trochę na dół!

Ale Regina rwie wciąż wyżej.

— Nie mogę się zatrzymać! — krzyczy.

— Dla czego?

— Się zanadto nadełam.

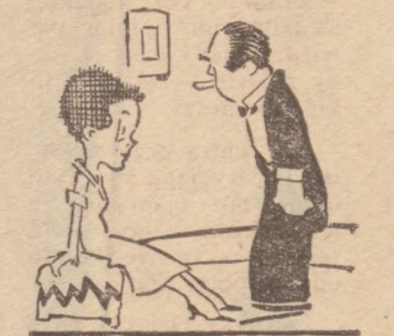
Pipman jest zrozpaczony.

— Wypuszczaj powietrze! — wyje.

W tej chwili budzi się. Żona Regina, obudzona jego krzykiem, patrzy na niego przestraszona.

Pipman przeciera oczy i odycha z ulgą.

— Możesz już nie wypuszczać — zwraca się do żony. To był tylko sen.



KRÓTKA HISTORIA

Urzędnik w biurze zapomogowym indagauje piękną aplikantkę:

— Meżatka? — pyta prędko.

— Tak, dziękuję — odpowiada nerwowo.

— Żadnych dzieci?

— Tak, chłopiec i dziewczynka, dziękuję.

— Hm... za to nie potrzebuje pani mnie dziękować.

Stara panna, to jak samochód z 1922 roku, ale bez miłomierza.

— I mówisz, że znasz takie- go, któryby dał wszystko, aby widzieć kogoś ze swoją żoną. Czy to wariat, lub może chce mieć powód do rozwodu?

— To nie... ale on jest śle- pym.



Hollywood

Złowił Sobie Lorda



Hrabina Liev de Maigret, wdowa po utytułowanym francuskim magnacie szampańskim, pojawiła się w dwóch obrazach, lecz jej kontrakt nie został odnowiony. Jej powrót do obrazków jest jednak możliwy.

HRABOWIE i hrabiny nie znały wiele w królestwie filmowym w Hollywood, który stwarza swoją własną szlachtę filmową. Książęta, dukowie i earlowie rzadko kiedy figurują ze swoimi tytułami szlacheckimi na filmie.

Pod względem towarzyskim, rozumie się, kolonia filmowa ubiega się za utytułowanymi przedstawicielami starych szlacheckich rodów, którzy przychodzą z odwiedzinami do Hollywood i często z grzeczności przygotowuje próby filmowe dla nich. Czasami nawet dopuszcza się ich do mniejszych ról w obrazach ze względu, że hrabia lub baron, książę lub lord mają swoją wartość publicystyczną.

W ostatnich czasach jednakże niektórzy członkowie nobilej europejskiej przybyli do tutejszej stolicy filmowej w zupełnie poważnym zamiarze szukania kariery filmowej, lub bogatych aktorów, z którymi można pędzić życie bez troski i wesoło. Są jednak wśród nich tacy, którzy całkiem poważnie chcą zrobić karierę w filmach. Najbardziej dystygowanym wśród tych "szlachetnie urodzonych" imigrantów jest Charles Guy Fulke Greville, Baron Brooke, Earl of Warwick, członek brytyjskiej Izby Lordów.

Niektórzy brytyjscy rycerze pomagali od czasu do czasu do zrobienia ruchomych obrazków, lecz możliwe, że nobileja angielska nie należy właściwie do kategorii tej arystokracji, która chce robić karierę filmową. Tak naprzy-

Gdy nobileja zwiedza królestwo filmowe, przybywa tam zazwyczaj tylko dla samego zwiedzenia—lecz brytyjskie parostwo dostarczyło dla Hollywoodu aspiranta do sławy filmowej, a obecnie różni Europejczycy zwożą swoje szlacheckie tytuły do studiów kinematograficznych w Hollywood.

kład Sir Cedric Hardwicke został uszlachcony przez króla Jerzego V za jego kontrybucję dla sceny brytyjskiej w jego trzydziestoletniej karierze scenicznej. Sir Cedric pojawił się w sztukach "Les Miserables", "Becky Sharpe" i ostatnio powrócił do Anglii po skończeniu swej roli w sztuce filmowej "Green Light". Lecz powróci on tu na przyszłą wiosnę i wystąpi w więcej obrazach.

Jest tutaj także Sir Guy Standing, który od pięciu lat grał stale w produkcjach firmy Paramount. Dostał on szlachectwo za jego usługi oddane w służbie jako członek Brytyjskiej Komisji Wojennej do Stanów Zjednoczonych.

Hrabina pełnej krwi u Warner Brothers

HRABINA pełnej krwi pracuje w wytwórni Warner Brothers. Firma Paramount niedawno temu nabyła baronową Luli Hohenberg, która jest gwiazdą austriacką. Hollywood ma także innych utytułowanych ludzi, lecz nikt z nich nie może stawiać w zawody co do szlacheckiego pochodzenia i koligacji z siódmym Earlem Warwicku, który jest także Baronem Brooke i który posiada jeszcze inne równie i impresywnie brzmiące tytuły. Anthony Eden, brytyjski minister spraw zagranicznych, jest jego wujem. Jego babka, ze

strony matki, była Lady Eden, którą Whistler uczynił sławną swoim obrazem.

Earlowie Warwick znani są w historii brytyjskiej od czternastego wieku. Jeden z nich, około roku 1540, nazywany był "Warwickiem Dobrym", lecz inni byli zazwyczaj awanturnikami, którzy sprawiali wielkie kłopoty królom angielskim i wywoływali polityczne i militarne zamieszki. Babka obecnego lorda Warwicku stała się socjalistką i jest nią do dziś. Nikt też nie był szczególnie żdziwiony gdy Charles Guy Fulke Greville postanowił zostać aktorem filmowym.

Ustał on ze swego krzesła w radzie powiatu Warwickshire, porzucił swój majątek ziemski składający się z 12,000 akrów i podpisał kontrakt filmowy z wytwórnią Metro-Goldwyn-Meyer.

Za swoje niedoświadczone jeszcze usługi aktorskie, Lord Warwick pobiera wcale ładną gażę \$1,000 tygodniowo. Jeżeli jego lordowska mość postanowi wytrzymać przez siedmioletni kontrakt z wytwórnią, to jego roczna gaża po tym czasie będzie wynosiła \$200,000.

Liczy on obecnie 25 lat i jest bezwzględnie przystojnym mężczyzną. Wysoki przeszło sześć stóp, dobrze zbudowany i atletyczny. Ma on nie wielu przyjaciół w kolonii filmowej, gra wiele w golfa z Bruce Cabot'em, spala codziennie wie-



Charles Guy Fulke Greville, Baron Brooke Earl of Warwick, którego podobizna jest powyżej, nie chce nic mówić, w jakiego rodzaju rolach chciałby występować... Na siatkówkę filmowej będzie on figurował jako zwyczajny Michael Brooke, bez szlacheckich tytułów.

le czarnych cygar i powiada, że nie dba wcale o "parties." Mimo to jednak bywa na różnych zabawach i chodzi o nim fama, że może "wychylić" wiele kieliszków szkockiej bez zachwiania równowagi.

Lubi tylko swoje zabawy.

"**J**EDYNEMI zabawami, które lubię — powiada — są to moje własne zabawy. Nie są one niczym nadzwyczajnym. Powodzenie lub nieudanie się zabawy zależy od doboru gości."

Nie chce on wcale powiedzieć jakie role chciałby odgrywać w obrazkach. W czasie pisania niniejszego przechodził on przez szereg prób filmowych i głosowych. Stosowane są dla niego różne rodzaje ucharakteryzowania, aczkolwiek eksperci nie odważyli się jeszcze na domaganie się od niego, aby sobie pozwolił przetrzebić i zmniejszyć zbyt krzaczaste i wielkie brwi. Nauczyciele dramatyczni uczą go jak ma chodzić i mówić — wyobraźcie sobie — uczą chodzić i mówić — Lorda!

Lord Warwick jest przyjemnym i miłym młodym mężczyzną, który widocznie chciałby być wymownym, lecz nie wie dobrze co mówić. Dlatego mówi

mało i nie wyraża się o niczym z entuzjazmem, z wyjątkiem o brytyjskim klimacie, kalifornijskich kursach golfowych, mahometańskiej architekturze i o ekspedycjach do Turkiestanu. Przyznał się też, że lubiał chodzić do teatru w Londynie. Czy lubiał chodzić na ruchome obrazki?

"Well-ah-oh, yes! Yes, of course! Rozumie się! Quite!"

W sprawiedliwości dla jego lordowskiej mości należy dodać, że cały Hollywood jest zdumiony i ucieszony przybyciem jednego zielonego nowego przybysza, który nie prześladowa innych odczytami o dramaturgii lub dawaniem lekcji o tym, co jest złego z Hollywood i z ruchomymi obrazkami. Lord Warwick nie jest reformatorem i powiada, że nie widzi nic złego w kinematografii.

Zwiedził on po raz pierwszy Hollywood w roku 1933-cim, gdy znajdował się w drodze na Daleki Wschód. Wówczas to spotkał się z Ruth Selwyn, pisarką i aktorką, żoną Edgara Selwyna, z rodziny promotorów teatralnych i filmowych.

Pani Selwyn przypatrzyła się profilowi młodego lorda i powiedziała mu: "Pan powinien być w obrazkach."

Młody lord wziął to początkowo za żart. Zakłopotał się i dziękował za komplement — i pojechał dalej w zamierzoną podróż na Wschód. Później pojął za żonę swą piękną kuzynkę, była Rose Bingham w Anglii. Mają oni obecnie małego synka. Dawida. Lady Warwick przybyła do Hollywood w roku 1935, była fetowana i zabawiana, zrobiono z nią próbę filmową w wytwórni

Twentieth Century-Fox i miała wystąpić w małej roli w obrazie pod tytułem "Black Ship." Ale na tym się tylko skończyło. Lady Warwick powróciła do Anglii, do swego zamku Warwick, gdzie do dziś dnia przebywa i zamierza się poświęcić całkowicie obowiązkom rodzinnym i domowym.

Lord Warwick dał się nakłonić.

GDY Merwyn LeRoy bawił w Anglii zeszłego lata, gdzie spotkał się z lordem Warwick, powtórzył mu opinię wyrażoną przez Ruth Selwyn. Jego lordowska mość począł się wtenczas poważniej zastanawiać, zgodził się na próbę filmową, która wyszła dość dobrze. Lecz gdy dyrektor LeRoy próbował zgromadzić swoją kompanię, Metro-Goldwyn-Meyer złowiła tymczasem lorda Warwick dla siebie.

Tak więc lord Warwick przybył do Hollywood. Wynajął sobie staroangielskiego stylu umeblowany dom i w nim zamieszkał. Jeżeli tu zostanie na dłużej, czego nie jest jeszcze pewnym, ma kupić sobie większe miejsce.

Robi on wszystko, co jest spodziewane od lorda. Ukończył szkołę militarną w Sandhurst, która w Anglii jest tym, czym jest West Point w Ameryce. Jest on oficerem rezerwy. Był lotnikiem, lecz nie zatrzymał swojej licencji pilota. Urządzał polowania na grubego zwierzę w Indiach i w Afryce, i powiada, że słonie dostarczają najlepszego sportu. Gra w polo i lubi pasjami amerykańską grę w piłkę nożną.

Jeżeli wejdzie kiedy na siatkówkę kinematograficzną, to nie będzie na niej produkował się jako Lord Warwick.



Panna Luli Deste, Baronowa Gottfried Hohenberg z Austrii, gwiazda kontynentalnej sceny i filmów, będzie obecnie pracować dla wytwórni Paramount.

"Nie przyniosłoby to korzyści ani dla mnie, ani dla kompanii — powiada. "Ludzie mogliby pójść zobaczyć jeden obraz, zwyczajnie tylko z ciekawości. Przypatrywaliby mi się, lecz nie zauważyliby czy mogę grać. A to byłoby końcem mojej kariery."

Dlatego to jego nazwisko filmowe będzie brzmieć "Michael Brooke". "Brooke" jest jego własnym nazwiskiem. "Michael" zaś będzie przybrane w uznaniu dla jego agenta filmowego, Mike Levy.

Hollywood czeka na pojawienie się baronowej.

HOLLYWOOD nie widział jeszcze zapowiadzianej baronowej Luli Hohenberg. Ma ona tu przybyć w styczniu po ukończeniu obrazu w Londynie.

Ochrzczona imieniem Luli Deste, córka barona i baronowej Bodenhausen z Bawarii, a przez małżeństwo baronowa Gottfried Hohenberg z Austrii, podpisała ona kontrakt z B. P. Schulbergiem, niezależnym producentem dla wytwórni Paramount. Jest ona jedną z błyskotliwych gwiazd kontynentu europejskiego; występowała z wielkim powodzeniem przez jakiś czas na scenie, między innymi i w "Operze Zebraków" w Wiedniu. W ostatnich zaś czasach pojawiła się w pewnej liczbie obrazów w Londynie, których ostatnim jest obraz pod tytułem "Thunder in the City."

Wytwórnia Warner Brothers ma także swoją hrabinę. Jest nią pani Iphegenie Castiglioni. Jej mąż jest, lub był, jednym z najbogatszych ludzi w Austrii, i był właścicielem teatru w Wiedniu, w którym Max Reinhardt przedstawiał kilka sztuk scenicznych dzieł, zwyczajnie tylko z ciekawości. Był jego przedownikiem wśród zespołu aktorskiego — nim obaj przybyli do Hollywood.

Hrabina Liev de Maigret, której zmarły mąż był hrabią rodu francuskiego i królem szampa, pojawiła się już w dwóch obrazach — "China Seas" i "One Rainy Afternoon."

Będąc pochodzenia skandynawskiego, ma pewne podobieństwo do Greta Garbo. Przez jakiś czas była ona protegowaną Mary Pickford. Lecz obraz "One Rainy Afternoon" okazał się mało interesującym, co sprawiło, że kontrakt hrabiny nie został odnowiony. Jednakże są ludzie w Hollywood, którzy uważają ją za dobrą aktorkę i przepowiadają jej powrót.

Alexandre D'Arcy, egipski bey, syn paszy, miał role w kilku obrazach, z których ostatnim jest obraz pod tytułem "The Stolen Holiday." Książę Sigvard Bernadotte Szwedzki działał w charakterze asystenta dyrektora dla ostatniego obrazu z życia Tarzana. Baron George de Richelieu, swojego czasu paź cesarza Franciszka Józefa, działał jako doradca techniczny w obrazach przedstawiających sceny z dworów cudzoziemskich panujących.

W wytwórni Century-Fox pracuje jako "property boy" austriacki hrabia, Phillip d'Esco.

Pierwsze Spotkanie Warszawianina z Mgłą Londyńską

Jak Wygląda Londyn Polakowi, Przybyłemu Poraz Pierwszy Nad Tamizę?

LONDYN. — "London fog" — londyńska mgła — jest tak nieodzowną częścią repertuaru osobliwości Londynu, że nie sposób przejść nad nią do porządku — już choćby dla własnego spokoju, że się ją rzeczywiście raz "widziało". Lecz cóż zrobić, gdy kogoś przesładuje "pech", że przyjeżdżając w listopadzie, natrafia na — pogodę! W miesiącu, w którym już od 17-go wieku (tak dawno ponoć sięgają zapiski meteorologiczne w Anglii) figuruje w biuletynie co drugi dzień wzmianka: "fog".

Alé widać, że i w Anglii dzbany dopóty wodę noszą, dopóki się ucho nie urwie, więc też któregoś poranka, po dziesięciu dniach suchej i ciepłej pogody, następuje raptem zmiana — i cały Londyn chowa się w nieprzejrzysty woal mgły.

Jest około godziny 11-ej w południe, gdy piszącego te słowa unosi po asfalcie Piccadilly "dach autobusu", — ów popularny "top of the bus", który już w bedekerach z czasów królowej Wiktorii, kiedy dzisiejszy autobus był jeszcze konnym omnibusem, uchodził za najlepszy sposób przyglądania się Londynowi "z góry". Miasto dziś nie do poznania. Przez gęstą zasłonę mgły wynurzają się tylko najbliższe szczyty domów i nie podobna rozeznaczyć przechodniów. — Tylko raz po raz wygląda nad domami tarcza słońca jak czerwono-złoty balon. Barwa ta udziela się powietrzu, — więc prawdą jest to, co mówią o "zółtej", londyńskiej mgle.

Myliłby się wszakże, ktoby sądził, że ruch uliczny jest dziś wskutek mgły mniejszy. Wprawdzie ranne dzienniki wykrzykują, że w nocy, z powodu mgły stanęła żegluga między Irlandią a Szkocją, ale w Londynie, na Oxford Street, ciągną sznury samochodów w zwykłym korowodzie, a na Trafalgar Square, gdzie nasilenie ruchu kołowego osiąga nieraz niebywale rozmiary, dudni tuzin olbrzymich, piętrowych "busów", je-

den za drugim w takim tempie, jak gdyby miały obrócić stojący opodal kościółek św. Marcina w proch.

Przyznać też trzeba, że londyńskie autobusy kierowane są chyba przez najlepszych w świecie szoferów. Nietylko potrafią oni sunąć w wyścigowej jeździe przez śród miasteczka, przelizgują się między sobą i w mig wypełniają każdą "próżną dziurę" w nieustającym prądzie ruchu, ale — co jest godniejszym jeszcze uwagi — wykazują przy tym wszystkim względność dla reszty ruchu kołowego, nie przekraczając nigdy "prawa pierwszeństwa" na narożniku, a na pasmach przejścia dla pieszych pilnie baczą, by kogo nie najechać.

Wszystko to jakoś potrafi londyńska komunikacja połączyć z zawrotnym tempem. Także na sieci nielicznych tramwaj, jakie jeszcze utrzymały się w Londynie — w środku miasta ich nie widać, gdyż są prowadzone pod ziemią tunelami, by wyjść na powierzchnię dopiero w dzielnicach o mniejszym ruchu — ta sama dbałość o szybkie tempo jazdy. Wzdłuż Tamizy, np. rwa tramwaje jak u nas aut na szosie, — przeciętny nasz motorniczy musiałby zdać wiele egzaminu zimnej krwi i obrotowości, zanimby mu magistrat londyński zezwolił prowadzić wóz.

Gdy już mowa o ruchu ulicznym, to podnieść wypada, że wszystkie te rekordy szybkości nie byłyby możliwe bez dobrze działającej regulacji ruchu.

W zasadzie wprowadzony jest w Londynie system sygnalizacji świetlnej, podobny do tego, jaki działa w wielu miastach kontynentu. Można by tylko powiedzieć, że system londyński jest jeszcze lepiej obmyślony i działa jeszcze sprawniej.

Zamiast lampionów na skrzyżowaniach, jakich używa się np. w Niemczech, ustawione są w Londynie na krawędzi chodników słupki z trój-



Starożytny zamek nad brzegiem Dunaju w pobliżu Wiednia, własność barona Eugeniusza Rotszylda jest obecnie miejscem pobytu księcia Edwarda Windsor.

barwną sygnalizacją, przy czym na ilości tych słupków miasto bynajmniej nie szczędzi.

Wielką wygodą jest to, że ów system świateł zielonych, żółtych i czerwonych funkcjonuje według pewnej obliczonej zgóry reguły chronometrycznej, t. j. dopasowany jest w ten sposób do normalnej chyżości posuwającego się pojazdu, że pozwala temuż mieć po kolei po kilka narożników bez potrzeby zatrzymywania. O ileż to lepiej, niż w niektórych innych miastach, gdzie samochód, dostawczy się na "pechową" fałę ruchu, powstrzymany jest na każdym narożniku przez czerwone światło sygnału.

Zasiedziali znawcy Londynu opowiadają całe tomy przyk'adów, jak w zoro do działa dyscyplina uliczna samego społeczeństwa. — Gdy światelko "stop" zabłyśnie na skrzyżowaniu, staje samochód jak wryty i czeka cierpliwie na zielony sygnał, choćby na żadnej z przylegających ulic nie było najmniejszego ruchu i policjanta ani śladu, — obojętne, czy dzień, czy noc, — czy "City", czy peryferie. Widać wychowanie społeczeństwa w poczuciu "prawa", które to wszystko tłumaczy!

Prawo jest bowiem czymś, co się dobrowolnie sobie nałożyło. Niema np. w autobusach napisu, — spotkanego często gdzieindziej — że "jedynie konduktorowi wolno otwierać okna". Kto po Anglii podróżował, musiał zauważyć, że napisów pouczających społeczeństwo, jest wogóle mało, a napisy, odpowiadające treści słynnemu "verboten" są tylko sporadyczne, ograniczone tylko do wypadku, gdzie rzeczywiście dobro publiczne wchodzi w grę.

Otóż można być w autobusie świadkiem takiej sceny: Pewien jegomość uchyla okna w pobliżu swojego miejsca. Ktoś z dalszych rzędów zwraca się doń z uprzejmą uwagą, mówiąc, że obawia się od tej właśnie strony przewiewu. Powstaje krótka wymiana zdań, znów w tonie pełnym kurtuazji — i staje kompromis: amator otwarcia siada sobie po drugiej stronie ławek i tam uchyla okna dowoli, gdzie to mniej przeszkadza reszcie gości. Nikomu nie przyszłoby do głowy prosić o pomoc konduktora, — objaw ogołnienia w Anglii, że co tyl-

Będziemy mieszkali w szklanych domach

WESZCZE przed kilku laty śmiano by się serdecznie z pomysłu robienia ubrań ze szkła! Dziś ten pomysł stał się rzeczywistością. Kilka fabryk w Ameryce, w Niemczech i we Włoszech sporządza już tkaniny z włókien szklanych. Tkaniny te są zupełnie podobne z wyglądu do jedwabnych, a wytrzymałością i praktycznością przewyższają je pod każdym względem. Pozwalają się prasować, prać, można je szyc i na nich haftować, a pod jednym względem przewyższają wszelkie inne materiały: żaden mol nie może im zrobić krzywdy, gdyż mole szkła nie jadają. I jeszcze jedno zapewni tym tkaninom powodzenie: są one o wiele tańsze od tkanin z merceryzowanej bawełny, nie mówiąc już o naturalnym jedwabiu. Surowcem, z którego się je uzyskuje są — stare butelki i wszelkiego rodzaju szklany smęlc.

Fosforyzujące Domy.

Wogóle szkło zaczyna w technice nowoczesnej zajmować miejsce o jakim nikomu się dawniej nie śniło. Mówiono dawniej, że szczęście ludzkie jest krótkie i kruche jak szkło. Trzeba będzie to powiedzenie zmienić. Nie dlatego, aby szczęście ludzkie w naszych czasach zdobyło większą trwałość, ale dlatego, że szkło przestaje być synonimem kruchości. Nowoczesna technika sporządza już ze szkła nadzwyczaj mocne cegły, z których można budować domy, przewyższające mocą i trwałością domy ze zwykłych cegieł. Specjalnego preparatu sporządzonego ze szkła używa się jako domieszki do betonu, przyczem beton z nim połączony jest trwalszy od zwykłego. Szklane cegły można wyrabiać puste w środku. Stanowią one wtedy idealny środek izolacyjny przeciw hałasom.

ko możliwe, załatwia się między sobą, a "władzy" używa się tylko w ostatecznym razie.

Prostu nie uchodzi to za godne samodzielnego obywateli. Klasyczny kraj samorządu!

Nie będzie zawiele powiedzieć, że mamy tu fundament rządów obywatelskich w państwie, rządów parlamentarnych. — B. L.

WIZYTACJA

Dr. Althoff, pruski radca ministerialny, przybył do małej miejsciny na wizytację szkoły. Szkołę zastał prózną i opuszczoną.

Prawie bowiem w tym czasie bawił na wsi cyrk z menażerią, której główną atrakcją była małpa Jack. Młoda nauczycielka w przekonaniu, że zwiedzenie menażerii przez uczniów zachęci ich do pilniejszego studiowania historii naturalnej, zabrała całą klasę do cyrku.

Dr. Althoff czekał w klasie. Po dobrej godzinie wchodzi nauczycielka, czerwona z emocji.

Radca mierzy ją surowym wzrokiem i przedstawia się:

— Radca ministerialny, dr. Althoff!

Na to przerażona nauczycielka:

— Boże! Musiała ta małpa akurat dzisiaj przyjechać!

WYJĄTEK Z ROZKAZU

Wszyscy muszą brać udział w nabożeństwie. Zbiórka odbędzie się za kościołem, po kościele przed kościołem.

NA RYNKU KRAKOWSKIM

Wojak (który zapomniał mówić po polsku w austriackim wojsku): — Żydówka, was kosten duze bułka?

Żydówka: — Zeks groszen, panie wojak.

Wojak: — A cejn byś nie wziena?

Żydówka: — Ny, niech już i tak będzie, jak dla wojaka.

PÓŁROCZNE NIEMOWLĘ

D'Acosta, pochodzący z portugalskich Żydów, po zaangażowaniu na dwór cara, dla kariery przyjął prawosławie. — W pół roku później, do archimandryty doszły słuchy, że nowo ochrzczony żyje zdala od praktyk religijnych. Od d'Acosty zażądano wyjaśnień.

— Batiuszka! — rzekł dowcipniś, — przecież gdy przyjmowałem prawosławie, sami mówiliście, że teraz jestem jak nowonarodzone dziecko...

— Prawda, — potwierdzał pop, — nie zaprzeczam!

— No, a od tego czasu upłynęło zaledwie sześć miesięcy. Czyż od półrocznego niemowlęcia można czegoś żądać?



Willa państwa H. L. Rogers w Cannes, Francja, gdzie tymczasowo zamieszkuje pani Wallis Simpson jest stale oblegana przez reporterów gazet, żądnych wiadomości o najpopularniejszej kobiecie chwili obecnej.

Sławne GENIUSZ-DZIECKO Zadziwia Świat

Ruth Slenczyńska w dalszym ciągu podbija serca wielbicieli muzyki



Pisze Korespondentka "DZIENNIKA ZWIĄZKOWEGO" HALINA U. DRELENKIEWICZ - REKWART.

ZDAŻAJĄ się w życiu człowieka, w okresach stuleci, w okresie istnienia wszechświata — zjawiska niebywałe, zdumiewające, fenomenalne!

Domyślmy się racji ich bytu, szukamy przyczyny treści, gubimy w pogoni za pierwiastkiem dającym początek zjawisku... Niestety! Tak jak na miliardy dociekań czy doświadczeń, liczebnie mało znajdujemy względnie trafnych czy ścisłych naukowo odpowiedzi, i trudno o zjawisko wagi bezwzględnej, tak i w wypadku, gdzie chodzi o określenie fenomenalnego rozwoju i twórczości polskiego, światowej sławy Dziecka, RUTY JULII SLENCZYŃSKIEJ, mimo wytężania umysłu w sileniu się chociażby na skromne zadawania rozwiązań, śmiertelniczy krytycy i znawcy, przed tym olśniewającym, olbrzymich ram, zjawiskiem, dotychczas li tylko kornie chylą czoła...

"Wymodliłem Je Sobie..."

Na bezustanne zapytania skąd zwiędło się to "Cudo" w jego rodzinie, odpowiada z przejęciem się ojciec Ruty, nieprzeciętnych talentów artysta, autor i muzyk-skrzypek, JÓZEF SLENCZYŃSKI: — "...wymodliłem sobie to dziecko-artystkę... Na długo przed jej przyjściem na świat... Nim w łonie matki powstała... Już wówczas, gdy na polu bitwy, ranny, zatruty gazem, czulem, że jako skrzypek już nigdy nie będę grać... — modliłem się o — NIĄ!

I wówczas, po zapoznaniu w New Yorku koleżanki, gdy zapytywałem ją, czy mnie poślubi... I wówczas — gdy ona — zgodziła się być matką mego dziecka... Prosiłem Boga o Nią — artystkę! Nie "prodigy" jak ją powszechnie wszyscy zwą — lecz o artystkę! Zasłynęła ona w życiu jako WIELKA ARTYSTKA!

"Matka Ruty, pochodzenia polskiego, nie jest muzykalną," dodaje ten, biblijną miłością rozmówany w swym dziecku, najczulszy z ojców... "Takim było moje życzenie szukając za matką dla mego dziecka... Ja sam podjąłem się wrodzenia w nią daru..."

"Z łona matki podano mi ją... taką, jaką pragnąłem ją mieć... A że matka pragnęła syna... Ruta od pierwszego momentu była moją... Podano mi ją w ramiona, malusienką — wymodloną! Gorączkowo skonstatowałem... Wszystko według mych modłów — te silne ręczęta — te ramiona — nad wyraz rozwinięte przeguby — wszystko..."

"Wychowywałem je sam... powijałem, karmiłem! Nikt nie śmiał się jej tknąć! We wszystkich mych krokach towarzyszyły mi modły... o wielkie serce, wielką duszę, twórczość! o natchnienie dla niej i o przyszość wielkiego człowieka — błagałem!"

"Umysł Bethovena — ręce Chopina..."

Impresario londyński, Harold Holt, rok rocznie prezen-

tujący szereg najwybitniejszych artystów w Covent Garden, tuż po koncercie naszej Rodaczki w Londynie, zaopiniował, że Ruta posiada "umysł Bethovena — a ręce Chopina..." Wystąpiła ona z koncertem w Queen's Hall 26 lutego, b. r., jako już jedenastoletnia pianistka... Uznania atoli odbierała w hołdzie mała dziewczynka nie mając jeszcze lat trzech... Już wówczas koncertowała i w podziw wprowadzała słuchaczy artystów...

Według informacji zaczerpniętej w moim wywiadzie u cioci Ruty, p. Fiance, zamieszkałej w Van Nuys, (na którym opieram zresztą cały mój niniejszy reportaż,) światowej sławy pianista, Josef Lhevinne, goszcząc u wówczas w San Francisco zamieszkałych pp. Slenczyńskich, (od sześciu lat przebywają oni obecnie w Paryżu) po usłyszeniu odegranych przez trzyletnią Rutę kompozycji najprzedniejszych twórców tonów, a wykonanych pamięciowo, wręczył rodzicom piśmenny dowód, podkreślając fakt, że jest młodociana artystka bezsprzecznie geniuszem, i że nigdy w życiu nie widział on, ani słyszał, o podobnym zjawisku...

Solidaryzują się z opinią p. Lhevinne, poprzez kilka lat występów imponującej pianistki, tak Józef Hoffman, wybitny dyrektor Instytutu Curtis w Philadelphii, gdzie pięcioletnia Ruta za swą grę otrzymała stypendium, jak i pp. Cortot, Rachmaninoff, (który wyraził się w New Yorku po koncercie ośmioletniej artystki, że będzie ona najsławniejszą pianistką na świecie) i wielu innych...

Czy aby nie karzeł?

"Bezsprzecznie nie!" protestowała z humorem w Kopenhadze rok temu, podczas swego recitału, sympatyczna Ruta Julia... "Jestem małą dziewczynką a nie karzełkiem..." informowała uczonych i autorytetów... "Nie tylko, że rozmawiali ze mną, lecz naprowadzili lekarzy, którzy zmuszali mnie do otwierania ust, pokazywania zębów; kontrolowali mi uszy i wszystko," żaliła się później do reprezentantów prasy... z udaną goryczą, podziwiana przez świat, gwiazda... Z tego widzimy, iż wielcy świata koniecznie chcą dociec rozwiązania zagadkowego, omal trwożącego społeczeństwo, fenomenu. Dopatrują się oni przeróżnych rzeczy — często — nieprawdopodobnych... Dochodzą przyczyny celem naukowego wyluszczenia, interesującym się tą nadzwyczajną istotką, powstania jej egzystencji w ramach dotychczas niewytłumaczalnych. Tak natchniony jej ojciec jak i milusienka, która zresztą operuje nie dziecęcym, lecz językiem dorosłego, wyszkolonego człowieka, są bez wytchnienia zasypywani dochodzeniami, wizytami interesantów obu kontynentów jak i przeróżnych badaczy — w dociekanii prawdy... Dla wszystkich mają jedną odpowiedź, "że niema bardziej normalnego dziecka pod słońcem..."

W czym tkwi tajemnica...

Nadnaturalne, zdumiewające wyprost poświęcenie się i samozaparcie ze strony sławnego skrzypka-Polaka, a oddanego duszą i sercem dziecku, ojca, winne są lwiej części roz-

woju umysłowego, twórczości, bystrości orientacyjnej, samodzielności i niezmordowanego zapału do pracy, jakie promieniają z jestestwa miłośniczki fortepianu. Że dary te są wcieleniem darów i dążności miłującego ją ojca, nie ulega wątpliwości. Żyje on, jak się sam wyraża, tylko życiem Ruty... Dwie młodsze córeczki, nadzwyczaj utalentowane, Gloria, lat siedm, już dziś występująca jako skrzypaczka, Helenka, lat ośm, celująca uczennica szóstej klasy, i już dziś — słuchaczka praw, pozostawia, nie mniej im oddany ojciec, na łasce instruktorów... Dla niego istnieje tylko Ruta!

Metoda wychowawcy i pedagoga Slenczyńskiego

Tusząc, iż Czytelników, nie mniej ode mnie, intrygują rozwój i ewolucja naszej wybranki losu, i systematyczna praca nie spuszczającego jej z oka, wychowawcy-ojca, przytaczam parę intymnych faktów autentycznych.

Łatwiejszym może będzie zrozumienie faz ewolucji dziecięcia, gdy uprzednio wstawimy się w położenie samego p. Slenczyńskiego, tuż po powrocie z wojny światowej... Jako młody, 25-cio-letni skrzypek, żyjący tylko sztuką i swym zawodem, zdaje on sobie, z bólem serca, sprawę, że wskutek ran odniesionych — sam nie zagra już nigdy! Niewymowna trwoga i pustka szarpia jego duszę, bo skrzypce jego, to czem żył, o czem śnił i marzył, co go właściwie trzymało przy życiu poprzez okrucieństwa w transzach — i mówiło: "Żyj!" — te skrzypce, zamilkły na zawsze! Kariera jego, jako samodzielnego, niezależnego artysty, skończona!

Nie załamał się, mimo bezbrzeżnej rozpacz, nasz ziomek! Zwyciężył w nim wielki duch naszego wielkiego narodu! Kazał mu on żyć i — tworzyć! "Precz ze zwątpieniem, nie wszystko jeszcze stracone," zdawał się wmawiać w niego głos z za oceanu... Z rodzinnej Warszawy podążył ku brzegom przybranej ojczyzny. Poprzez bezgraniczne cierpienia rodzi się w nim myśl... nieodstępna... trawiąca... Skrzydła wyobraźni zataczały coraz to realniejszy zarys przeznaczenia, wskazują drogę i cel... "Rozpoczęte przez ciebie dzieło," szepca wyrażnie opiekuńcze skrzydła, "pod twym kierownictwem, doprowadzi do celu — Ona... Twe dziecie, twa przyszła artystka." Moment postanowienia — decyzja! Już kształtuje się byt cząstki duszy młodocianego Józefa... Na długo przed przyjściem swym na świat, Ruta rodzi się i rośnie w sercu przyszłego jej ojca... W ramach przez niego wyśnionych, wyblaganych, i, jak sam przyznaje, wymodlonych... Będzie ona dla niego — wszystkim! Wyidealizowaną — duszą jego duszy... Posłanniczką sztuki i umiłowanej przez niego — muzyki!

Bezinteresowna a nie egoistyczna miłość

Rodzi się jego wymarzona... Slenczyński porzuca zajęcie... Parę oszczędzonych groszy starczy mu na czas jakiś... Pilnie strzeże jej... Nikt nie śmie brać udziału w jej wychowaniu... Podkreśla z dumą, że sam będzie prał "jej małe ubranka"... Nosi ją w ramionach — śniąc o jej karierze przyszłej...

Chce Sprzedać Dziecko za \$75



Jim Cornell



Lillian Cornell and baby

Władze zajęły się sprawą oferty sprzedaży dziecka Lillian Cornell za 75 dolarów, uczynionej na rogu jednej z ulic w Baton Rouge, La. Lillian Cornell, licząca lat 18-cie i jej ojciec, którzy pieszo przywędrowali z Alabama, zostali zatrzymani przez policję dla dalszej inwestygacji, w celu stwierdzenia, czy jest dziecko ofiarowane na sprzedaż.

Ruta mówi "Mama" mając sześć miesięcy... Włada językiem płynnie i prowadzi konwersację ze starszymi — mając miesiące dziewięć... I — o dziwo! Nie mając jeszcze lat dwóch — zna dokładnie teorie harmonii muzyki, i jak przez sen — obeznana jest z utworami wielkich Lisztów, Bachów, Chopinów...

Mimo, iż ojciec koncentruje nad tem, by jego dziecko "było przez jakiś czas dzieckiem" — na nic jego zabiegi... Do dwóch lat w domu niema muzycznych instrumentów... Nie życzy on sobie by niemowlę dźwiękiem tonów rozbudzać za wcześnie... Niestety, los, podczas ich dziennej przechadzki, pokierował ich w stronę, skąd dochodziły tony fortepianu... "Co to?" zatrzymuje ojca przemocą Ruta... Na nic perswazje, na nic karcenie... Ruta wie, że tam jej przeznaczenie... Bezradny ojciec bierze dwuletnie boba do składu fortepianów... Jak zgłodniałe jagnię, rwie się ona do klawiszy. W ramionach ojca, unoszącego ją nad klawiaturą, pożera małenstwo konstrukcję instrumentu... Przez chwilę, jak w transie — nieruchoma... Wtem — unosi ręczęta... Pragę kładzie umiejętnie, wydobywając akord — lewą, bez zarzutu, uderzając gamę akompaniujących tonów... Dreszcz przeszły wszystkich... Ojciec zapłakał! Przez dwie godziny podtrzymywał jej drogie ciało w powietrzu, a Ruta, przykuta do fortepianu, raz jeden fałszywym tonem nie zraniła radosnej chwili w życiu jej oddanego ojca. Siłą wówczas, wśród protestów tak z jej strony jak i nagromadzonych jak na zew tłumów, zdołał oderwać ją od fortepianu. Wahał się przedwcześnie eksploatować jej siły...

Dwuletnie dziecko nie ślepo uległe

Ruta zwycięża! Przestaje się śmiać, przestaje jeść — trwoga napelnia ojca, który waha się i nie śmie odmówić jej prośbie... Ona chce grać i tylko fortepian szczęście jej przyniesie... Od pierwszej chwili, otóż, wykazuje silną

wolę w stąpieniu do celu... Fortepian zajeżdża, i dwuletnia artystka — stojąc, gra... Nigdy ona nie miała małego pianina... W pierwszych latach występów, z publicznym recitałem, mając lat trzy, przycinano nogi fortepianu parę cali, jakoteż przydłużano jej własne nóżki drewnianymi podstawkami... Ostatnio zwyciężyła i te przeszkody, z czego jest strasznie dumna. Gdy wreszcie sięgnąć mogła pedałów, oświadczyła reporterom, że chwila ta była dla niej największą w życiu...

Wrodzoną metodą Ruty, a którą kierowała się już przed pierwszym jej, głównym koncertem, w dojrzałym wieku czterech latek, to przeczytanie a raczej skonstatowanie utworu muzycznego raz jeden, i to, nie przy fortepianie... Naza-jutrz, bez nut, odtwarza utwór na fortepianie — a po kilku dniach — gra go tak, jak dojrzały artyści odbijają klasyki po 35-cio letniej praktyce...

Jedenastoletnia mistrzyni tonów, władająca czterema językami, szczyt intelektu i znajomości ludzi, debiutowała w stolicach wielu krajów i dotychczas wystąpiła z szeregiem 25-ciu główniejszych występów, nie włączając w nie koncerty na cele dobroczynne. Obecna tura jest jej czwartą z rzędu w Ameryce — za którą pobiera przeciętnie \$75,000 w sezonie. Gra swą, pełną pięknych zalet duszy, elektryzuje i w podziw wprawia cały, już nie tylko artystyczny, świat! Wystarczy usłyszeć ją raz, by przyłgnąć do tego istnego "Cudo" na zawsze!

A to "Cudo", której hasłem jest: "precz z lalkami; te są dobre dla dzieci..." jest cząstką nas, cząstką naszej Polski! Chociaż rodzona w Sacramento, nieznana RUTH SLENCZYŃSKA darzy nas tem, co przełaziła w jej jestestwo bezbrzeżna miłość ojcowiska jednego z najdzielniejszych synów Polski!

NOWE CZASY

Dzisiaj, gdy dziewczyna wychodzi za mąż, to najszybszym czuje się jej ojciec...

HUMOR + ŻART + SATYRA

Straszna Śmierć Dowcipnego Męża

—Co pani ma na swoją obronę?— spytał przewodniczący. Oskarżona wstała i westchnęła.

—Do zabicia męża mego przy pomocy widelca przyznaję się, lecz na obronę swoją muszę powiedzieć, że stało się to przez zwierzęta.

—Co takiego?

—Tak jest. Mąż mój, Wysocki Sądzie, był bardzo dowcipny. Stale nazywał wszystko i wszystkich zwierzęcymi nazwami. Już w czasach narzeczeńskich zawsze byłem "kociątkiem", miałam "słodki pyszczek" i "czarowne kopytka". Wielokrotnie łapałam się na chęci zamianowania, zgodnie z nadawanymi mi nazwami. Sytuacja ta znacznie się pogorszyła po ślubie. Przez długie miesiące nie słyszałam ludzkiej nazwy. Byłam kolejno: świnią, piescem, panterką, gorylką, kobyłą i prosiaczką. Przez męża nauczyłam się na pamięć całej zoologii. Mąż mój w ogóle nie uznawał zwykłych nazw. Mówił do mnie: "pobrykaj na spacer ze swoim byczkiem", "powiedz kwa-kwa do swojego kaczkorka", "czy można kureczkę dziobnąć w dziobek". Powo-

li zaczęłam się czuć całym ogrodem zoologicznym. Kiedyś nazywana przez parę godzin kociątką, zauważyłam, że patrzę przez dłuższy czas na myśią norę z cichym oczekiwaniem. Innym znowu razem, po mianowaniu mnie krówką, zarzycałam głośno i zjadłam z doniczki pelargonie...

—No dobrze, ale to nie powód, aby widelcem...

—Zaraz wyjaśnię to Wysockiemu Sądowi. Pewnego dnia była u nas kura na obiad. Mąż dowiedział się o tym rano i natychmiast zapisał na służącą i zażądał, aby mu "złosiła" śniadanie. Przy nakrywaniu do stołu spostrzegłam z przerażeniem, że zagadkałam do służącej, zamiast coś jej powiedzieć. Wreszcie przyszedł mąż i krzyknął: —Daj swojemu kapłoni-kowi kuzyna z półmiska! Zrobiło mi się ciemno w oczach i na chwilę straciłam orientację. Zdawało mi się, że jestem żonata z kogutem, a mąż leży na półmisku... złapałam widelca i nadziałam nań mego męża!... A szkoda, taki był dowcipny!

Przysięgli uniewinnili nie-szczęśliwą żonę.



NOWY MILIONER

Wózny pewnej instytucji, skromny, cichy człowieczek, wygrał czwartą część miliona na loterii. Opuścił naturalnie biuro i posadę, jednak od czasu do czasu odwiedza kolegów.

— Jakże ci się Antosiu, powodzi? — zapytuje go ex-kolega.

— Niech to ciężka choroba zatłucze. Przez ten milion już trzeci raz jem z żoną w restauracji homara w majonezie i za każdym razem choruję po tygodniu.



STRACIŁ WDZIEK

Służąca Kasia pierwszego wypowiedziała służbę, ale na kilka dni przed piętnastym przychodzi do pani z twarzą zapłakaną i pyta:

— Czy może pani jeszcze nie przyjąć żadnej nowej dziewczyny?

— Ależ Kasiu, przecież Kasia sama wypowiedziała, a ja domyśliłam się, że Kasia chce odejść, aby wyjść zamaż za tego kominarza, który tu zawsze przychodzi.

— Tak, proszę pani, chciałam tak zrobić, ale kiedy go zobaczyłam pierwszy raz umytego przestał mi się podobać.



MĘŻUŚ

Pan Kuśmidrowicz powiada do swej żony:

— Wiesz Zosiu, wczoraj raz nareszcie wygrałem w klubie 1,500 złotych. Co ty na to?

— Ach, to świetnie!

— No, całe 1,500 złotych może nie, ale 500 z pewnością.

— To jest jednak różnica.

— Chyba. W każdym razie moja strata była niewielka. Wszystkiego 200 złotych.

— Ależ, Hipciu!

— A więc, przegrałem 1,500 złotych. Ani grosza więcej. Daję ci najświętsze słowo honoru.

— Cóż ty zatem opowiadasz przedtem jakieś historie z wygrana?

— Chciałem cię tylko możliwie ostrożnie przygotować do tej smutnej nowiny, moja duszko.

DLACZEGO KRZCZY

W biurze awantura. Klient ze zdziwieniem:

— Któż tak krzyczy.

Szef: — Mój cichy współnik.

STRONICA 12

ULUBIONA POTRAWA

Burza zaskoczyła okręt. Maszyny przestały funkcjonować. Ze złamanym sterem okręt unosi się na falach morskich. Żywność już dawno się wyczerpała i śmierć głodowa zagłada rozbitkom w oczy.

Kapitan zwołuje pasażerów oraz załogę i oświadcza:

— Ponieważ i tak musimy wszyscy umrzeć, więc uczynię z siebie pierwszą ofiarę. Zastrzelę się, abyście mogli pożywić się moim mięsem i przez kilka dni pozostać jeszcze przy życiu. Przez ten czas może nadejdzie pomoc.

Już przykładą lufę rewolweru do skroni, gdy w tem rozlega się głos jakiegoś Anglika:

— Hallo! Hallo! Stop! Nie strzelaj pan jeszcze!

— A co się stało? — pyta kapitan.

— Nic. Ale bardzo bym pana prosił, żeby pan nie naruszył swego mózgu. Mózdzek, to moja ulubiona potrawa.



NA TARGU

— A panusi syn co kończył?

— Medycynę.

— I niby czym jest?

— Ocznym okulistą, kocha na pani.

ROZMOWA Z TATUSIEM

Syn: Proszę tatusia, nauczyciel powiedział mi dzisiaj w szkole, że jestem wałkoniam i najostatniejszym idiotą.

Ojciec: To nic nie szkodzi. Mnie powiedziano w szkole to samo, a patrz jestem już szefem dwóch departamentów i niedługo zostanie ministrem.

CZAS TO PIENIĄDZ

Na scenie rozgrywa się straszliwy dramat.

Bohaterski tenor powalił rywala na ziemię i trzymając miecz nad jego głową, śpiewa przebojową arie p.t. "Za chwilę cię zabiję".

Aria cieszyła się niebywałym powodzeniem i bohater musiał kilkakrotnie bisować.

Zniecierpliwiło to wreszcie aktora, który poirytowany zawołał:

— Zabij, zabij, tylko prędzej, bo się spóźnię na ostatni tramwaj!

STRAŻ OGNIOWA

Do pana Kalasantego Piórkiewicza przybiega zadyszany pomocnik szewski z warsztatu na drugim krańcu miasteczka. Staje przed panem Piórkiewiczem na baczność, melduje się posłusznie i woła:

— Panie komendancie, trzeba bić w bęben! Pożar w Wilkowicach!

Pan Piórkiewicz, komendant miejscowej ochotniczej straży pożarnej, przeciera fularową chustką okulary i pyta swego dyżurnego obserwatora:

— A ty skąd wiesz?

— Właśnie dostałem kartkę pocztową z Wilkowic. Zawiadamiają, że zajęła się stodoła i zabudowania dworskie.

PRZERAŻONY PAROBK

Do gospodarza na wsi przybiega parobek sąsiada z mocno strapioną miną:

— O ratujcie, wóz z sianem mi się przewrócił! Co na to powie mój gospodarz!

— No — pociesza go sąsiad — to znowu nie takie nieszczeście. Poczekaj, za godzinę wrócą moi ludzie z pola, to ci pomogą!

Parobek nie przestaje jęczeć.

— Oj co powie mój gospodarz!

Po dłuższej chwili zaczyna ją te narzekania irytować sąsiada.

— Ośle jeden! Czego się boisz? Przecież ci gospodarz nie za to nie robi!

— Ja wiem, że nic nie robi, ale on leży pod sianem!

PRAWDZIWA PRZYJACIÓŁKA

PAN Beniek był na tyle nieostrożny, że w rozmowie z panną Rózią powiedział:

— Wie pani? Pani przyjaciółka Gienia bardzo mi się podoba. Żeby nie te jej piegi...

Panna Rózia aż się zatrzęsała z oburzenia.

— Beniek! — tupnęła nogą. — Ja nie pozwolę źle mówić o mojej przyjaciółce! Piegi! Gienia ma piegi!

— Pierwszy raz widzę, żeby kobieta tak broniła przyjaciółkę.

— Bo ja jestem prawdziwą przyjaciółką! — krzyczała panna Rózia. — Nie dam Gieni oczerniać! Dobrze wiem skąd się wzięły te złośliwe plotki. Od czasu, jak ona sobie farbuje włosy, to jej nie dają spokoju.

— Gienia farbuje sobie włosy? — zdziwił się Beniek.

— Nie udawaj pan, że pan nie wie! Farbuje, bo musi. Co miała biedactwo zrobić? Przecież jej włosy miały kolor świńskiej szczeciny! I zresztą takie jasne włosy nie pasują do sztucznych zębów.

Pan Beniek otworzył oczy. — Gienia ma sztuczne zęby?...

— No to co? Każdemu może się zdarzyć, że mu zęby wypadają! A pan jej jeszcze dodaje piegi!



KOMPLEMENT

— O pewnym działaczu mówi, że gdyby był kobietą, miałby zdrowe i mocne dzieci, bo nikt tak świetnie, jak on, nie umie donosić.

U KRAWCY

— Jak pierwszy raz zapiąłem ubranie, to marynarka popękała na plecach!

— Widzi pan jak mocno przyszywamy guziki? Ani nie popuszczają!

SPEAKER

Speaker radiowy staje przed sądem.

— Ile pan ma dokładnie lat? — pyta sędzia.

Speaker wyjmując zegarek.

— Z uderzeniem gongu minie mi dokładnie 22 lata, 2 miesiące, 2 tygodnie, 2 dni, 2 godziny, 2 minuty i 2 sekundy.



ŚLUSZNE PYTANIE

— Pan twierdził, że papuga mówi sześciu językami, tymczasem przez tydzień nie wypowiedziała jednego słowa!

— A czy łaskawa pani dopuściła ją do głosu?

KRASOMÓWCY

Stosunkowo mniej było w tym roku wawrzynów za krasomówność. Nie otrzymał go na przykład jeden z najwy-mowniejszych artystów-plastyków. Bo akademicy twierdzili, że jego dzieła nic im nie mówią...

Sztuka oratorska upada u nas. Najwymowniejsze jest milczenie. A jeśli trzeba już konieczne coś powiedzieć, to najlepiej krzyknąć "Niech żyje"... Wtedy wybucha burza oklasków i nikt się nie stara nawet dowiedzieć kto ma żyć...

UPRZEJMOŚĆ PISARZA

— Jeden z wielkich miesięczników londyńskich zapowiedział druk nowego opowiadania Rudyarda Kiplinga. Do pisarza zgłosił się wyznaczony przez redakcję rysownik.

— Mam nadzieję, że nowela pana ma za temat dzikie zwierzęta. Mieszkam długo w koloniach. Studiowałem specjalnie lwy i tygrysy. Byłbym szczęśliwy, gdybym miał narysować n.p. tygrysa, atakującego myśliwego.

— Niestety, rzecz dzieje się w Londynie— odpowiada Kipling.

— Jaka szkoda...

— Ale zaradzi się temu. Dodam trzy wiersze.

I uprzejmy autor dopisał rzeczywiście:

"Dowiedziawszy się, że dziewczyna kocha go, młody człowiek, który przeżył w Indiach bez drżenia napaść tygrysa, poczuł się wzruszony".

Temat do rysunku był gotowy.

CZĘŚCIOWO

— Masz wspaniałe futro! Pewnie pochodzi od męża?

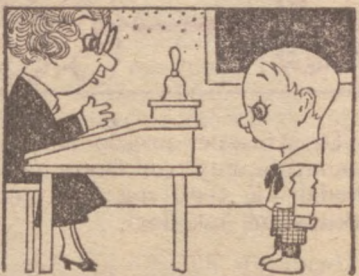
— Częściowo!

— Dlaczego?

— Bo pomysł, żeby je kupić pochodzi odemnie!

NAUKA

Najlepszym matematykiem na świecie jest kobieta. Dodaje sobie urodę. Odejmuje lata. Mnoży wielbicieli. Dzieli wy-wczaszy. I potrafi najmniejszy ułamek sekundy podnieść do najwyższej potęgi.



W SZKOLE

— Powiedz mi właściwie, poco cię matka posyła do szkoły, przecież chyba po to, żebyś się czegoś nauczył, nieprawda?

— Nie po to. Żeby miała raz spokój, panie psorze.

Ah! Ci Ludzie!

Rysuje

Jefferson Machamer



U WRÓŻKI

Wróżka:—Jakiś mężczyzna
znajdzie się na drodze pani.
Dama:—Boże, znowu! Do-
piero wczoraj przejechałam
jednego mojem autem.

NIEDOMYŚLNY SZOFER

—Obejdę się bez takiego
szofera! Zwalniam was na-
tychmiast z obowiązku!...
—Ależ dla czego? Czy mógł-
bym przynajmniej znać po-
wód zwolnienia?

KLÓTNIA

—Nie lubiłem twej matki
za jej życia, a jednak dałbym
pięćset złotych, żebyś ty na jej
miejscu wisiała na ścianie, a
ona żywa stała przedemną.

NASZE SŁUGI

—Czy kupiłaś Marysiu gąb-
kę?
—Nie, proszę pani. Pokazy-
wali mi tam w sklepie dużo
gąbek, ale wszystkie były
dziurawe.

W SĄDZIE

—Wszak po raz czwarty je-
steś karany za kradzież.
—Nie, panie sędzio—trzeci.
—A ja mówię, że czwarty.
—Tak?... No to może się
pan sędzia założyć o trzy wódki
i cztery piwa?

PORÓWNANIE

Różia musi wyczyścić piec
tak zwanym "szwarcem". U-
smarowała się przy tem po
łokcie.

To straszne, proszę pani—
lamentuje, gdy pani domu nad-
chodzi.—Z tego ma się ręce
takie same jak nogi.

NAUKA MORALNA

Przewodnik oprowadza tu-
rystów po zamku. Obejrżeli
wszystko i znaleźli się w osta-
tnim pokoju.

Przewodnik pokazuje por-
tret i objaśnia:
—Oto portret margrabiny
Rozamundy, która została za-

mordowana. Znienawidzono ją
za jej chciwość i skąpstwo. —
Skąpstwo jest przyczyną
wszelkiego zła. Panie i pano-
wie, nie zapominajcie o prze-
wodniku.

DOBRA NE MAŁŻENSTWO

Czy pani jest pewna, że pa-
ni mąż był pijany, kiedy wczoraj
wieczorem powrócił do do-
mu?

— Oczywiście, przecież
chciał mnie pocałować!

Człowiek, który robił fortuny na krwi ludzkiej

TAJEMNICE ŻYCIA ZACHAROWA, KTÓRY ZMARŁ NIEDAWNO TEMU

Był Człowiekiem, Któremu Naprawdę Los Sprzyjał

W ZMARŁYM w dniu 26. listopada b. r. Bazylim Zacharowie zesła z widowni życia jedna z najciekawszych, najbardziej tajemniczych postaci XX-go wieku. We wspomnieniu pośmiertnym jednego z pism angielskich czytamy, że gdyby życie tego człowieka leżało przed nami jak otwarta księga, biografowie mieliby mimo to jeszcze niejedną ciekawą zagadkę do rozwiązania.

Ileż więcej nasuwa się tych zagadek wobec omrocza, które los i człowiek sam rozstrząsał? W Bazylim Zacharowie wszystko otoczone jest najdziwniejszą tajemniczością. W niepamięci giną nawet jego lata dziecięce, spędzone w zaułkach Konstantynopola, gdzie się urodził.

I tu pierwsza niewiadoma — w roku 1850, jak chcą jedni, czy w 1849 a nawet 1855, jak twierdzą drudzy.

W młodości przyszył potentat finansowy, który trząsał losami państwa i narodów, trudnił się czym się dało. Był robotnikiem, strażakiem, domokrądcą, kelnerem, a przede wszystkim od 14 roku życia był... aferzystą, nie zawsze zresztą zrecznym. W Sofii za jakieś machinacje handlowe dostał się do więzienia. Po wyjściu z zakładu karnego krewnym jego zdawało się, że życie Bazyla potoczy się po równi pochyłej, na którą z fatalistyczną siłą zdawała się pchać go niepokonana niczym żądza przygód, która młodego jeszcze chłopca w ciągu kilku zaledwie lat zawiadła do Odessy, Aten i poprzez południowe Bałkany do Sofii, przełomowego etapu w jego karierze. Przypadek bowiem rzucił, że w czasie gdy młody Zacharow, bezrobotny i bezdomny drugi dzień po wyjściu z więzienia błąkał się po ulicach Sofii, snując nowe, śmiałe plany na przyszłość, do stolicy Bułgarii przybył właściciel wielkich angielskich zakładów przemysłu wojennego Vickers.

Traf chciał, że portier hotelu, w którym stanął Vickers, był dobrym znajomym Zacharowa i polecił go Vickersowi jako biegłego tłumacza. Zacharow, który odznaczał się

wyjątkową wprost zdolnością do języków, znał wówczas oprócz języka rosyjskiego i greckiego, które, nie mając wyrażonej świadomości nafodowej, uważał za swe języki ojczyste, turecki, bułgarski, serbski i niemiecki. Vickersowi podobała się otwartość tego człowieka, który, o czym Vickers nie mógł wiedzieć, umiał być otwartym wtedy gdy wymagały tego jego interesy, a który na wstępie oświadczył swemu przyszłemu mocodawcy, że wraca wprost z więzienia.

Zabrał go z sobą w podróż do Konstantynopola, zakończoną poufną konferencją w ministerstwie wojny, gdzie po raz pierwszy zabłysnęły nie tylko językowe, lecz i handlowe talenty Zacharowa. Vickers mając w kieszeni zamówienie na milionowe dostawy broni, wrócił do Londynu, zabierając Zacharowa, który w tym pierwszym interesie zarobił kilkaset tysięcy funtów szterlingów.

Londyn stał się drugim etapem zawrotnej kariery "nieznanego włóczęgi bałkańskiego", jak go pogardliwie nazywają nieliczni zresztą nowopoznani koledzy. Zacharow jeździł w tajemniczych misjach do Kopenhagi, to do Algieru i Marokka, gdzie przygotowywał się ważne wypadki. Pogłoski mówiły, że uzbrajał on z polecenia swej firmy szczepy tubylcze przeciwko Francji. Niebezpieczna pogłoska, którą Zacharow demontuje, z uśmiechem wskazując na wagon pomarańcz, załadowany i czekający na transport do Anglii. Oto, czym się trudni. Istotnie pomarańcze przyszyły do Londynu, nikt jednak nie stwierdził nigdy i zapewne nigdy nie stwierdzi, jakiego rodzaju transporty szły z Anglii do nadbrzeżnych, pełnych niespokojnych Arabów, miejscowości obu kolonii francuskich. Zacharow umiał osłaniać swe interesy po mistrzowsku. — Dość, że w ciągu czterech lat od przybycia do Londynu jest już kimś. Włada 18 językami, znany jest nie tylko w kołach wielkiej finansjery londyńskiej, ale w Paryżu i we wszystkich ważniejszych centrach

ruchu pieniężnego. Nikt tak nie umie wyczuć sytuacji na rynku akcji przemysłu wojennego, jak Zacharow. Nikt też nie dorówna mu w snuciu misternych intryg, rezultatem których są zwiększające się z roku na rok obroty firmy Vickers.

Majątek Zacharowa rośnie z dnia na dzień. Z potoków krwi ludzkiej, z przelanej wśród huraganowego wycia pękających na polach walk granatów i szarpaneli, spływa do skarbca Zacharowa, w najróżniejszej postaci złoto, gruntując jego potęgę. Ten człowiek umie wykorzystać każdą okazję dla zrobienia interesu. Jedyna trwała w jego życiu miłość do krewnej Burbonów, księżnej Villa de los Caballeros, przyniosła mu milionową fortunę w postaci z a m ó w i e ń, uzyskanych za wpływami księżnej, od rządu hiszpańskiego na dostawy broni i amunicji, których wartość wynosiła 30 milionów funtów.

Firma "Vickers" mianuje go dyrektorem generalnym. Z tą chwilą zaczyna się nowa era w życiu Zacharowa, która wkrótce wynosi go na szczyty finansowego powodzenia. W kilka lat po objęciu stanowiska generalnego dyrektora w firmie "Vickers", Zacharow skupia w swym ręku większość akcji firmy i uzyskuje decydujący wpływ w angielskim przemyśle wojennym. Uśmie on tak jak nikt inny eliminować wpływy zakładów konkurencyjnych. W ręku swym skupia nie tylko akcje "Vickers'a", ale i konkurencyjnych na rynku zagranicznym zakładów francuskich "Schneider et Creuzot" i rosyjskich zakładów Putilowskich.

Wielka wojna w której Zacharow był dostawcą broni nie tylko dla państw Ententy, ale, jak głosi fama — również dla państw centralnych, daje mu w ręce nieograniczoną prawie potęgę gospodarczą. — Zacharow jest rzeczywistym właścicielem "Armstrong-Vickers'a", "Schneider et Creuzot'a", ma swe udziały we wszystkich wielkich towarzystwach naftowych, bankach międzynarodowych. Wywiera decydujący wpływ na towarzystwa linii kolejowych, okrętowych — jednym słowem niema dziedziny, w którejby nie tkwiły jego kapitały, twardą, bezwzględna ręką z morza krwi ludzkiej zdobyte.

Po wojnie nazwisko Zacharowa wypływa jeszcze raz w związku z okupacją Ruhry, którą, jak twierdzą Niemcy, finansował przy pomocy kontrolowanych przez siebie banków, głównie Banque de l'Union Parisienne. Obok tego należał na kontynencie europejskim do największych wydawców, jako właściciel "Excelsior" i "Echo National".

Nieznany człowiek sofijskiej ulicy, posiada u schyłku swej kariery błyszczącej, niezliczony szereg kamieni w Paryżu i Londynie. Całe ulice są jego własnością.

Nad Jasnym Brzegiem, w najpiękniejszych zakątkach Francji, Anglii, Włoch, Szwajcarii posiada liczne wspaniałe urządkowane wille i pałace.

Człowiek ten dwóch rzeczy nie miał w życiu: ojczyzny i skrupułów. Wyrósł z nicości, żył z unicestwiania życia póki go w późnej starości, nie pochłonięła nicość śmierci.

Co Słysząc w Stolicy Polski?

CO SŁYCHAĆ W TEATRACH WARSZAWSKICH. — CO GRAJĄ. — KINA NIE SĄ PRZESZKODĄ TEATROWI. — ŻYCIE STOLICY WRĘ. — CZY JEST KRYZYS TEATRALNY?

WARSZAWA. — Mimo silnej konkurencji kin sprawa frekwencji w teatrach nie wygląda zbyt rozpaczliwie. Kino — kinem, a teatr — teatrem. Są więc nadal tacy, którzy koniecznie muszą w miesiącu conajmniej ze trzy razy pójść do jednego z licznych teatrów. Bardzo to pięknie z ich strony, tembardziej, że to nie "kartkowicze", lecz widzowie z prawdziwego zdarzenia, wykupujący w kasie normalne bilety.

Jeszcze kilka lat wstecz sensacją było, gdy sztuka szła pięćdziesiąt razy. Dziś to już nie imponujące; musi mieć co najmniej 75 przedstawień, ale lepiej, jeżeli dociągnie do setki, bo wówczas murowane powodzenie na następne dwa miesiące. Wszak w teatrze Małickiej sztuki idą ponad dwieście razy, tyleż przedstawień miała w Polskim "Tessa" i "Matura" w Kameralnym.

Dlaczego więc mówi się o kryzysie teatralnym w Warszawie? Cóż — wobec tego — oznaczają owe rekordy powodzenia? Ano, zbyt dużo trzeba by na ten temat pisać.

Zwrócimy jednak uwagę na jeden odcinek sprawy teatralnej: na operetkę. Przecież dawniej operetka była najgroźniejszą konkurencją teatrów dramatycznych: przyjeźdźni robili w Warszawie zakupy, wieczorem zaś szli obowiązkowo do operetki; wogóle operetka tu — operetka tu! Oj, były to czasy!

Ani się podlotkom marzyły Greta, Marleny, czy inne filmówki. Ich miejsce zajmowały "gwiazdy" naszej operetki: Kawecka, Mesalka, Niewiarowska, czy Elna Gistaet. A dziś, gdzie jesteście, warszawska operetko? Cisza dokoła, noc jasna, księżyc świeci, pieski wyją. Pani Operetka straciła czas i usunęła się w zacisze.

Przed dwoma laty zanosilo się na odrodzenie i to za sprawą Korolewicz - Waydowej, która wówczas rozpoczęła rządy w gmachu opery. I zdawało się, że wszystko będzie jak najlepiej, że operetka stanie tak, jak za dawnych lat. Ale Korolewicz - Waydowa opuściła gmach Teatru Wielkiego, bo rządy w nim oddano obecnie panu Mazarakiemu.

Próbowali inni wskrzesić dawne dzieje operetki warszawskiej, ale przeważnie z opłakanym wynikiem. W gmachu Wielkiej Operetki na Karowej plajtęno dwóch śmiałków, nie utrzymała się również operetka na ul. Chłodnej, w której występowała znana Poznaniowi Nochowiczówna, oraz Folański. Obecnie Nochowiczówna próbuje szczęścia w rewiach kinowych, a Folański gra epizodyki w filmach.

Zupełnie nieoczekiwanie wyszły w tych dniach dwie nowe próby odrodzenia warszawskiej operetki. Operetkę na Karowej zajęli nowi ludzie, na otwarcie wystawili "Wesołą wdówkę", z również znaną Poznaniowi Janiną Kulczyką, teraz zaś zgotowali stolicy sensację, występując z premierą operetki "Zakochana królowa", w której tytułową rolę śpiewa — słuchajcie! słuchajcie!

Wanda Wermińska, a obok niej amant filmowy Witold Conti i... Antoni Fertner.

Zaledwie kilka dni minęło od premiery, a już pojawiają się głosy, nie wróżące "Zakochanej królowej" spodziewanego przez dyrekcję sukcesu. Na scenie, owszem, ruch jest, kręcą się gołonogie girlasy, jest kilka udatnych wstawek baletowych, natomiast mało — jak na operetkę — śpiewu. No i najważniejsze: Wermińska powinna była koniecznie zostać przy operze, a Fertner przy komedii.

Druga próba natomiast jest naprawdę rewelacją i kto wie, czy rybka nie polknie haczyka, t. zn. publiczność jednak zasmakuje — jak dawniej — w operetce. Sprawili to nieobcy Poznaniowi Witold Zdzitowiecki. Zajął przy ul. Śniadeckich salę drugoekranowego kina "Casino", zamienił ją na teatr pod nazwą "8:15" i wystawił operetkę "Gaby". — Publiczność przychodzi tłumnie i nie ukrywa wielkiego zdziwienia.

A powody ma! Bo: operetka jest bardzo melodyjna, doskonale wyreżyserowana, a Lucy na Szczepańska w tytułowej roli naprawdę przepięknie śpiewa i coraz bardziej umacnia swą popularność. Całe przedstawienie pozostawia miłe wrażenie, co tym bardziej zasługuje na uwagę i podziw, że scena dawnego kina jest raczej scenką i niejednen teatr amatorski pracuje w lepszych warunkach.

W "Gaby" gra także dwóch poznańskich znajomych, mianowicie Stefan Laskowski (występował latem w "Adrii") oraz Witold Spinger. Pierwszy ma dużą rolę, drugi natomiast tak zwany "ogonek", a tak się przeciw dobrze zapowiadał.

A wogóle — na zakończenie — godzi się jeszcze wspomnieć o dwu ciekawych sprawach ze stołecznego życia teatralnego.

Pierwsza dotyczy Teatru Wielkiego, w którym obecnie — pod dyrekcją Mazarakiiego — dokonano szeregu doniosłych zmian, nie pozostających bez wpływu na frekwencję. Mianowicie na parterze i pierwszym piętrze obowiązują panie i panów strój wieczorowy. Ponieważ nie każdy strój taki posiada, dyrekcja idzie "ofiarom kryzysu" na rękę i urządza wśród tygodnia przedstawienia popularne. — Wartoby w pobliżu opery otworzyć wypożyczalnię toalet i strojów wieczorowych...

Druga sprawa jest pierwszorzędnej kalibru. Kazimierz Junosza - Stępowski, najwybitniejszy aktor teatralny, w sobotę, dnia 28-go listopada b. r., zaczął występować w muzycznej komedii politycznej "Król z parasolem" w... "Cyruliku Warszawskim".

Junosza-Stępowski na deskach teatryku rewiowego! Podobno nawet będzie śpiewał! Co na to p. Szyfman, wódz T. K. K. T.?



Henry Ford, magnat automobilowy w roli "prasowacza"; próbuje on nową maszynę do prasowania.

Henry Ford

TRAGEDJA NA MORZU

CZŁOWIEK... w.. bocianiem gnieździe "Margaret Dollar" zauważył statek, na którego pokładzie nie widać było jednak ludzi. Ne ulegało wątpliwości, że ma się do czynienia albo z wrakiem albo też statkiem, którego załoga opuściła pokład, lub też wymarła.

"Margaret Dollar" ruszył w pościg za żaglowcem, który, jak można było wnioskować z wyglądu, był japońskiej konstrukcji. Ostatecznie udało się przez wystrzelenie harpunu zakotwiczyć linę na japońskim statku, a w godzinę później pięciu ludzi załogi amerykańskiego parowca znalazło się na pokładzie.

Na pierwszy rzut oka skonstruowano, że statek nie był zbudowany dla podróży dalekomorskich. Jakże więc ta lupina od brzegów japońskich dostała się w te szerokości Pacyfiku? Na pokładzie piętrzyły się zagadki i niespodzianki. Na samym wstępie ujrano szkielety dwóch ludzi, wybielone przez tropikalne słońce.

Kiedy marynarze skierowali się schodkami w głąb statku, natknęli się na dalsze dwa trupy. W kajucie kapitana odkryli dwóch nieboszczyków siedzących przy stole. Widać oczekiwali tu śmierci z zupełnym spokojem. Wiedzieli, że ta śmierć jest nieunikniona.

Niesamowity statek — nowy "Holender - Tułacz". W zbiornikach na wodę nie było kropli życiodajnego płynu. — Spizarnia była wypróżniona do ostatniego ziarnka ryżu.

Kapitan "Margaret Dollar" wziął ten upiorny statek na hol, ażeby odstawić go do najbliższego portu amerykańskiego.

Po przybyciu do portu złożono obszerny raport o wypadku konsulowi japońskiemu, przeprowadzono dochodzenia przy pomocy policji amerykańskiej i postawiono

statek do dyspozycji władz japońskich.

Podczas przeszukiwania kajuty kapitańskiej znaleziono w tajnej skrytce ściennej dziennik okrętowy, w którym pismem japońskim opisano dokładnie tragedię, jaka się rozegrała na pokładzie "Ryo Yei Maru".

Depesza kablowa do Japonii zdołała szybko ustalić właściciela żaglowca. Dowiedziano się, że był nim bogaty kupiec z Nagasaki i że na pokładzie statku znajdowała się córka wspomnianego kupca ze swym mężem, kapitanem O Yuki.

Wspomniany kupiec i właściciel wielu okrętów Nagasaki polecił telegraficznie, ażeby statek odprowadzono do Japonii w tym stanie, jak go znaleziono. Jednak władze amerykańskie uważały za stosowne zbadać dokładnie tło tragicznych zaszło, jakie się rozegrało na pokładzie. W ten sposób zdołano wyjaśnić tragedię miłosną, która na pokładzie japońskiego żaglowca znalazła swój ostatni akt.

Córka właściciela "Ryo Yei Maru" była piękną i posadzoną japońską dziewczyną. Zakochała się ona w prostym mechaniku okrętowym, Kato Gintaro. Stary jednak zwyczaj japoński postanowił, iż ojciec decyduje wyłącznie o losie córki. Upatrzył on na zięcia kapitana O Yuki, roztropnego i doświadczonego żeglarsza, który od wielu lat służył w jego firmie.

Po ślubie małżonkowie mieli na pokładzie "Ryo Yei Maru" odbyć podróż morską.

Posłuszna córka Japończyka poddała się woli ojca, ale miłość do Kato Gintaro nie umarła w jej sercu. Kato nie chciał wyrzec się dziewczyny i obmyślił szatański plan zemsty.

Zdarzenia nastąpiły po sobie niezwykle szybko. Gintaro potrafił w ostatniej minu-

cie dostać się na pokład "Ryo Yei Maru", jako mechanik. — Tuż po wyjeździe z Nagasaki, kiedy statek znalazł się na Morzu Chińskim, wyszedł na pokład, ażeby rozprawić się z O Yuki.

Zanim zdołał przeciwnikowi zadać cios szeptem, O Yuki poznał niebezpieczeństwo, powalił rywala i złamał mu ramię. W kilka minut później O Yuki wyrzucił sokoła rywala za burtę. Słyszano tylko przeraźliwy krzyk ginącego. Reki pływające za statkiem pokazywały szybki kres życia nieszczęśliwego.

Statek miał tylko jednego mechanika, a Kato przed śmiercią zdemontował maszynę. Tak więc statek mógł łatwo paść ofiarą burzy. W pobliżu nie było żadnego statku. Wiatr był przeciwny i pędził "Ryo Yei Maru" na pełne morze. Załoga poczęła cierpieć głód. Trzej ludzie dostali ataku szału i skoczyli za burtę. Dwaj inni nie mogli znieść męki pragnienia i popełnili samobójstwo.

Młoda małżonka kapitana O Yuki pierwsza padła ofiarą braku wody. Pozostał tylko O Yuki ze starym Japończykiem. Postanowili nie cierpieć dłużej i zażyli truciznę.

Przed popełnieniem desperackiego kroku O Yuki spisał wszystkie zdarzenia niezwykle dokładnie w dzienniku okrętowym, który zamknął w skrytce kajuty.

Była to sucha opowieść o córce bogatego kupca, która kochała prostego mechanika, a musiała poślubić z rozkazu ojca kapitana statku.

MUZYKA

Córka: — Nie wiem, mamo, co ty masz przeciw Oskarowi. On ci wczoraj tak pięknie grał na fortepianie!

Matka: — Tak, marsz pogrzebowy, gdy weszłam, a uwerturę wiosenną gdy wyszłam!

TERMIN

Z wypadków w Palestynie okazuje się, że szmaty ziemi, które zajęli tam żydzi, nie były im przez Anglię darowane, lecz tylko na lat 16 wypożyczone i że ten termin skończył się w roku 1936.

SZCZYT CIERPLIWOŚCI

Rozprawa sądowa przy głuchym sędziu, oskarżonym niemową i jakającym się obrońcy.

ZAKŁAD

Fred i Kitty zakładają się. — O co? — Postanów ty, Kitty! — Dobrze, o srebrnego lisa! Jeśli go wygram, ja go wybiorę, jeśli ty wygrasz — sam go kupisz.

— Ja tu nie będę siedział, ja jestem polityczny. — Doprawdy? — Przecież rozbiłem kasę w konsulacie paragwajskim.

Siedmioletni Chłopcy Przy Budynku Szkolnym

Pierwszy: — A widzisz, moja czapka jest większa jak twoja!

Drugi: — To nie. Ale moja mama jest większa od twojej. 1-szy: — O nie. Moja mama jest taka w-i-e-l-k-a jak, jak ta latarnia.

2-gi: — Eee! moja mama jest jeszcze większa! Jest taka jak... jak ta szkoła!

1-szy: — A moja jest jak (ogląda się, a nie widząc nic większego od szkoły, woła:) a moja jest jeszcze większa, jeszcze większa, jeszcze większa!

EKSPERYMENT PANI MALWINY

MAŻ pani Malwiny, jak prawie każdy mąż, po powrocie do domu zjadł kolację, czytał gazetę i kładł się spać.

— Żeby on mnie trochę zabawił — narzekała pani Malwina — żeby trochę porozmawiał! Nic! Nawet się słowem nie odezwie.

I oto pani Malwina przeczytała w pewnym piśmie kobiecym następujący artykuł:

"Gdy mąż jest mruk, należy go nakłonić, żeby przynajmniej raz w tygodniu przyszedł do domu nie jako mąż, tylko jako gość. Ot taki zwykły gość, który przychodzi na herbatkę, żeby trochę pogadać. W ten sposób — zapewnia autorka — mąż uczy się z żoną prowadzić rozmowę. Uczy się ją zabawiać."

— Hipek! Dziś robimy próbę! Ty dziś przychodzisz do domu jako obcy gość. Zapraszam cię o 9-ej na herbatkę.

— A co będzie z kolacją? — zaniepokoił się mąż.

— Kolację zjedz na mieście.

I rzeczywiście, gdy pan Hipek wrócił do domu, wyszła mu na spotkanie wystrojona pani Malwina.

— A to pan, drogi przyjacielu? — uśmiechnęła się gościnnie. — Prosimy, prosimy. Kawał czasu pan u mnie nie był.

Pan Hipek wzruszył ramionami i wszedł do pokoju.

— Proszę, niech pan siada! — zapraszała gospodyni. — Co słychać? Niech pan coś opowie.

— Co mam opowiadać? Mam chory żołądek i nie mogę jeść na mieście.

— Ah, pfe — oburzyła się gospodyni. — Jak można o takich rzeczach mówić na wizycie? Napije się pan herbatki?

— A do herbatki jest coś? Jeść mi się chce.

Pani Malwina zmarszczyła gniewnie czoło.

— Hipek! Jesteś teraz gość, czy nie?

— Już niech będzie — westchnął pan Hipek. — Niech będzie herbatka.

Pani Malwina znów ułożyła twarz w przyjemny uśmiech.

— Jak się panu podoba moja suknia? Ładna, co?

— Pytanie! A te pieniądze, co mąż wybulił, były pewno jeszcze ładniejsze.

— A jak pan myśli? Pogoda się poprawi?

Miła pogawędkę przerwał wejście służącej.

— Proszę pani! Sklepiarz przyszedł po pieniądze.

— Powiedz, że jestem zajęta. Mam gości.

— Ale on grozi, że awanturę zrobi. Lepiej zaraz dać.

Pani Malwina niespokojnie spojrzała na męża.

— Hipek! Daj 15 złotych. Trzeba zapłacić.

Pan Hipek spojrzał w sufit i gwizdnął sobie beztrósko.

— Co to mnie obchodzi? Ja jestem gość. Jak ktoś przychodzi z wizytą, to się go nie prosi o pieniądze.

— Hipek. On zrobi awanturę!

— To ja się mam martwić? Czy ja jestem gość, czy nie?

Pani Malwina podniosła się z krzesła.

— Hipek! Dosyć tej komedii. Ta autorka była idiotką. Ja widzę, że w małżeństwie rozmawiać to jest drugorzędna rzecz. Idź na zbitą łeb, jako gość i wracaj jako mąż. Ja potrzebuję pieniędzy.

— Tak mów odrazu! — ucieszył się pan Hipek. — Dawaj kolację.

I w oczekiwaniu na kolację zabrał się do czytania gazety.

NIE OD NIEGO

— Słuchaj, Kuba — mówię przyjacielu do przyjaciela. — Dawniej mówiłem tak dobrze po polsku, a teraz łapię się ciągle na tym, jak powiadam: jezdem, zamiast jestem. Od kogo też mogłem to przejąć?

— Ode mnie napewno nie. Ja jezdem tak mocny w polskim języku, jak sam nieboszczyk profesor Kryński.



Można śmiało powiedzieć, że gdy Bob Wiggins, farmer z Texasu zamawia "over alls", to krawiec musi zużyć tyle materii, ile by potrzeba było na mały namiot. Liczy on lat 35; wysokość siedm stóp i jeden cal; waga 469 funtów. Obok stojące dwie sprzedawczki weszły całymi swymi osobkami każda w jedną nogawkę "overallów" Boba.



Największe z dotychczas przyznanych alimentów otrzymała pani Emilia Milliken Lambert, córka multimilionera, wynoszą one bowiem sumę przeszło półtora miliona dolarów. Mężem jej był J. D. Lambert, fabrykant lekarstw. Sąd pozatem przyznał jej opiekę nad dwojgiem dzieci.

WALKA ZE ŚNIEGIEM NA DROGACH W ZIMIE



KIEDY zima spadnie na drogi samochodowe w 36 stanach, zamieniając je w jeden olbrzymi pas śnieżny, armia pługów rozpoczyna swą roczną walkę z błodaką krajowego systemu transportacyjnego, gdy obok 10,000 mil pól ochronnych strzeże sieci komunikacyjnej przed zawiejami.

Zagadnieniem żywotnym jest utrzymanie ruchu drogowego dla dostarczenia towarów i pasażerów do odciętych od innych sposobów transportacji miejscowości, chcąc uchronić publiczność w zimie od poniesienia przykrych konsekwencji, więc i problemat ten inżynier drogowy zmuszony jest rozwiązywać inteligentnie i uparcie.

Pożądany rozwój budowy dróg, który pchnęło naprzód wołanie "wydostańcie nas z błota," zagłusza w wielu okolicach wołanie: "otwórzcie drogi" lub "wydostańcie nas ze śniegu." Ażeby w niektórych stanach odpowiedzieć na te wołania, pługi nie mogą spocząć na chwilę od początku do końca zimy, z wyjątkiem przystanków dla uzupełnienia paliwa czy reperacji.

Przez 24 godziny dziennie wierni pracownicy drogowi przeciągają tam i z powrotem w swej bezustannej podróży, przeżytnając się przez zasy, dopóki śnieg nie przerwie swej roboty.

Automobilista, który jest już zupełnie bezsilny w walce z upadkiem śniegu, gdy grubość jego dochodzi zaledwie do kilku cali, rzadko kiedy spotyka się z zaspami 80 stóp wysokimi. Na sławnej drodze Rim Road, okrążającej jezioro Crater w stanie Oregon, tego rodzaju zasy nie należą do rzadkości, ale ponieważ w żaden sposób nie zakłócają one ruchu kołowego na sieci krajowej, więc też pozostawia się je w spokoju do czerwca, kiedy na drodze tej ożywia się ruch turystyczny.

Około czerwca zasy stopnieją do umiarkowanej wysokości. Jednakowoż wciąż pozostaje jeszcze jakieś 30 stóp gruba powłoka twardego, uleżącego śniegu, miejscami zamokniętego i zamrożonego na zwały lodu, który trzeba rozsadać dynamitem, zanim pługi rotacyjne mogą przystąpić do oczyszczania resztek śniegu z dróg na stokach górskich. Jednego roku zaś dopiero późno w sierpniu zdołano przedrzeć się przez pokłady śniegu, aby za tydzień czasu świeża zameć zamknęła tę drogę na całą zimę.

WZADANIU usunięcia śniegu przygotowanie stanowi stoczenie powłoki walki. Gdy zanosi się na burzę śnieżną, olbrzymią wyższością jest mieć w pogotowiu obsługę i ekwipunek i zabrać się do dzieła razem ze śnieżycą. Ze względu na to zachodzi więc potrzeba pozostawiania w ciągłej łączności z biurem meteorologicznym i konieczność umiejętnej dystrybucji pługów po patrolowanym terenie.

W górskich okolicach stanu Washington, gdzie głębokość opadów śniegu dochodzi od 18 do 48 stóp, pługi rotacyjne są wyposażone w nadawcze i odbiorcze aparaty radiowe, pozwalające obsłudze pozostawać w ciągłej łączności z biurem meteorologa i wzywać pomocy w razie osunięcia się z gór lawiny śnieżnej.

Ze wszystkich metod wprowadzonych do pogotowia bojowego z zaspami śnieżnymi, najlepszą rzeczą jest zapobieganie tworzeniu się zasp. To też jedna sztacheta w płocie ochronnym zapobiega często zsypaniu się na drogę wielu ton śniegu.

W tym usiłowaniu zaobserwowano, iż zasy śniegu wydarzają się na dro-

gach, gdzie znajdują się budyńki i ogrodzenia w postaci żywopłotów tuż obok drogi od strony wiatru. Znajdujące się wszelkiego rodzaju bariery przeciw wiatrowi, osłabiające szybkość pędu zawiei, zmuszają ją do wyładowania swego ciężaru. Te spostrzeżenia doprowadziły do wzmożenia przeszkód wiatrowi w aktywnych miejscach, tak aby zasy tworzyły się obok płotu lub w pewnej odległości od drogi.

W Kolegium Stanu Michigan dokonywane są próby skuteczności płotów ochronnych w specjalnie ku temu celowi zbudowanym tunelu długości 10 stóp, gdzie wytwarzany wiatr unosi na sztuczne ogrodzenia lekkie trociny i płatki mikowe jako śnieg. Podłoga tunelu wyłożona jest ostrym papierem piaskowym dla dostarczenia możliwie jak najbardziej naturalnych warunków. Szybkość wiatru do 45 mil na godzinę wytwarzają propelery, pędząc płatki sztucznego śniegu na zbudowane wpoprzek płoty.

Eksperymenty powyższe wykazały, iż szerokość sztachet powinna być równa szerokości otworów między sztachetami. Dalej na każdą stopę wysokości płotu powinno się liczyć 15 stóp odległości płotu od drogi; zwykły cztery stopy wysoki płot powinien znajdować się 60 stóp od drogi. Przekonano się także, że skoro podnieść płot o jakieś sześć cali od ziemi i nachylić go z wiatrem, płot nie będzie osadzał wcale śniegu na ziemi, gdzie stoi, zato będzie tworzył dwa razy wyższe zasy poza sobą w stosunku do swej wysokości.

Zapobieganie zaspom śnieżnym było przedmiotem długoletnich badań ekspertów kolejowych. Ci polecają miast sztucznie kontrolowanych metod, na-

turalne bariery z drzew i krzewów, sadzonych na odpowiedniej odległości od torów. Inżynierowie drogowi godzą się z tym, kładąc nacisk, iż ta metoda przyczyni się zarazem do upiększenia dróg i krajobrazu.

KILKA rzędów równolegle zasadzonych drzew tworzy basen, który zatrzymuje śnieg. W stosowaniu naturalnych barier przed śniegiem najsukcesyjniejszymi okazały się sosny, świerki i cedry. Nisko rozrastające się krzewy tworzą z wysokimi drzewami doskonałą kombinację.

W poszczególnych okolicach państwa śnieżnego używany jest najrozmaitszy ekwipunek do walki z zaspami. W ostatnich czasach uwiadcznia się dążność do lekkich, szybkobieżnych pługów o odkładniach, jakie posiadają zwykłe pługi i ciężarówki od śniegu. Lecz kiedy gruby śnieg spadnie, lekkie pługi puszczane są dopiero za ciężkimi, pociąganyimi traktorami.

Odkładnie ostatnich są zwykle w formie litery "V", odgarniając śnieg na obie strony. Pługi traktorowe zdolne są przedrzeć się przez zasy od 8 do 10 stóp wysokie, jeżeli śnieg nie jest mokry, a gdy jest głębszy, motorowce najpierw zgarniają wierzchnią część, następnie docierają do gruntu.

Pługi rotacyjne wyposażone są w propelery, których wirująca funkcja odrzuca śnieg na jedną stronę drogi, czasem do 40 do 50 stóp w górę.

Na ulicach miast śnieg zgarniany jest na wały, ładowane następnie rotacyjnymi dźwigami na samochody ciężarowe i wozy, gdy zachodzi konieczność wywiezienia śniegu za miasto lub na w tym celu przeznaczone miejsca.

Oczyszczenie ulic miejskich, jeżeli ma być skuteczne, powinno być dokonane zanim ruch kołowy zdoła utratować śnieg na twardo i nim dojdzie do spadku temperatury, zamieniającej zbity mokry śnieg w lód. Dlatego zarząd miasta New York może nająć 100 tysięcy robotników i wydać miliony dolarów w jednym dniu na usunięcie zaledwie kilku cali śniegu.

Powstały więc pytania, czy jest rzeczą uzasadnioną wydawać olbrzymie sumy pieniędzy na programy kontroli i usuwania śniegu? Badania wykazały zwiększenie się wpływu z podatku gazolinowego, odkąd drogi były otwarte w czasie zimy. Ostatecznie, po porównaniu zwyczajki podatkowej z wydatkami na utrzymanie dróg wolnych od śniegu, przekonano się, że usuwanie śniegu zwiększyło wpływy Funduszu Drogowego. Atoli dochody z podatku od gazoliny są jeszcze podrzędnego znaczenia w porównaniu z ważnością zapewnienia gospodarstwu krajowemu ruchu kołowego przez cały okrągły rok.

Co więcej, oczyszczanie dróg ze śniegu zapewnia zdrowie i bezpieczeństwo mieszkańcom wielu odosobnionych osad, czego nie można wprost mierzyć wartością pieniądza.

WRESZCIE, drogi krajowe reprezentujące lokatę olbrzymiego kapitału, jak to również przedstawia 26 milionów wehikułów motorowych, kursujących po tych drogach, zatem większość tych olbrzymich inwestycji byłaby beczynną w ciągu czterech miesięcy zimowych w roku, no i strata byłaby jeszcze większa, nie znajdującą proporcji w porównaniu z wydatkami na utrzymanie ruchu kołowego na drogach.

Do paru lat prawie wszelkie wysiłki i wydatki były łożone na usunięcie śniegu z dróg, gdy śnieżycy zasyłała i zamknęła je dla ruchu kołowego. Obecnie ruch ten powoli zdecydowany kierunek, aby poczynić wszelkie kroki zapobiegawcze przed nadejściem śniegu i stosować wszelkie środki bezpieczeństwa po usunięciu go.

Do badania kontroli drenów przywiązywana jest nie mniejsza uwaga, aby utrzymać drogi wolne od topniejących śniegów, i uwagę zwrócono na łożyska dróg cementowych w celu zapobiegania sączeniu wody zaskórnej na powierzchnię jezdni i zamarzaniu.

Równe udogodnienia w przewidywaniu pogody i otrzymywania raportów przedstawiają się jako zagadnienia pierwszej doniosłości. W poszczególnych rejonach są więc prowadzone badania w każdym wypadku usuwania śniegu, dla ustalenia warunków lokalnych: kierunków i szybkości wiatrów, stopnia temperatury i przepowiadań zimy.

Uwaga jest także przywiązywana do sposobów w usuwaniu śniegu, które najmniej odbijają się na jezdni, jak sposobom konstrukcji dróg, zapobiegających możliwie najwięcej zamarzaniu i wynadkom.

Groźne warunki powstają w rezultacie gołoledzi i zamarznięcia drenów woda z topniejących na bokach drogi wałów śnieżnych. W tym sprowadza ulgę budowa ochronnych torów ściekowych, a ponieważ wszelkie drewniane progi, jak okazało się, zatrzymują także śnieg, więc rozpoczęto zakładać nowe typu kałowego.

Wyrażana tak często opinia przez starych bywalców, że nie mamy już dłużej zimy, jakie mieliśmy dawniej, spotyka się z zaprzeczeniem doświadczeń inżynierów drogowych. Zima wciąż co roku piętrzy nie do przebycia zasy.

Powyższe zdjęcie fotograficzne, dokonane przez Departament Drogowy Stanu Kalifornia, przedstawia w akcji plug typu "V", gdy spycha zasy śnieżne na drodze w wysokich Sierras.